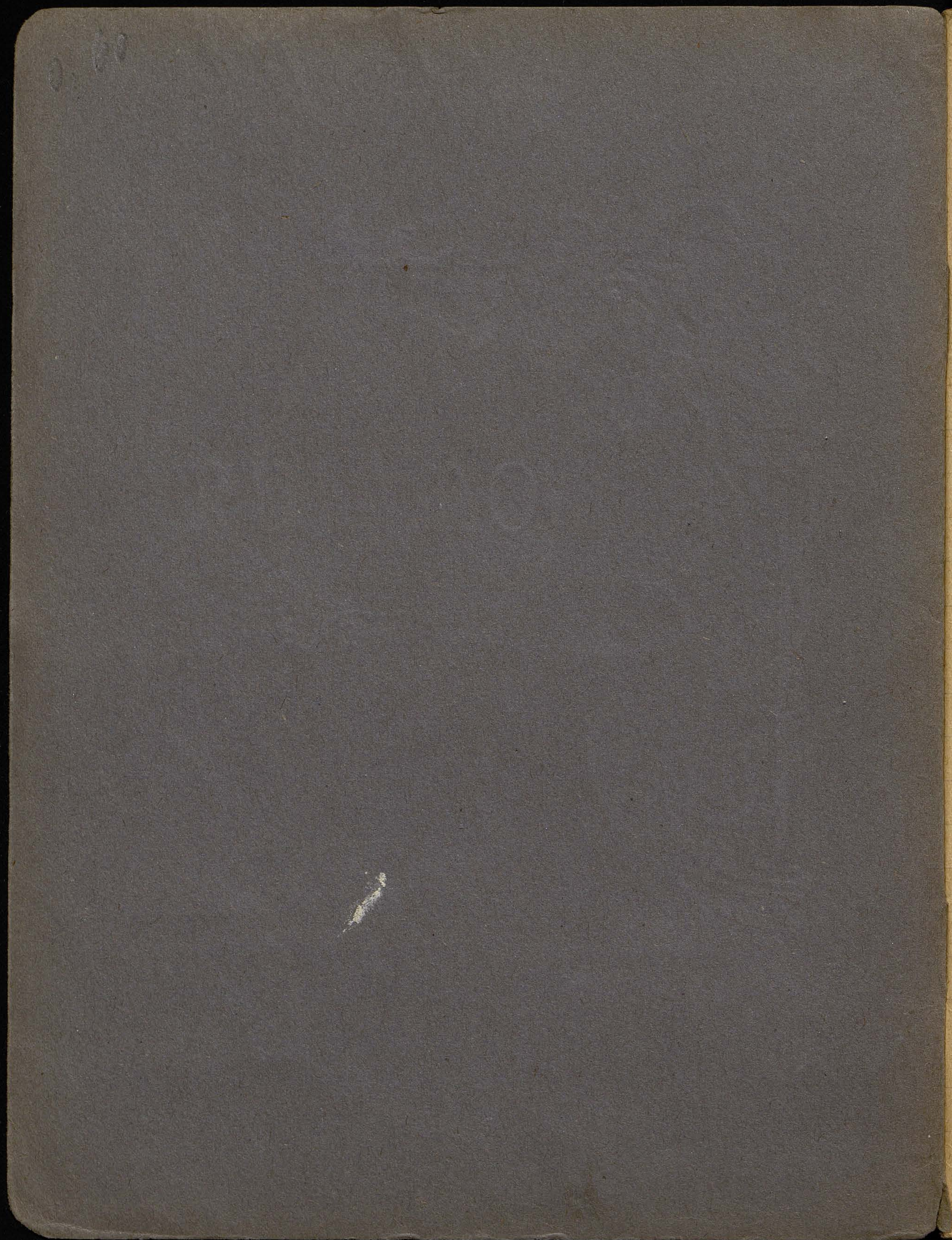
III



OMNIUM





Le mie prigioni III

57/50

t. 7

i landszturmy dostawały przestarzałe karabiny Werndla jednostrzałowe. Zabrakło rynsztunku i ubrań, więc żołnierze, pełniący służbę wewnątrz kraju, zamiast rzemieni opasywali się parcianemi szlejkami z powrózków i dodzierali zamolone mundury, w których całe pokolenia wymarły.

Ale to głupstwo! Rząd się o to nie troszczył. Troskę o zwycięstwo zostawił Prusakom, a sam zajął się ważniejszemi rzeczami. Dla niego najpilniejszą sprawą było wskrzeszenie absolutyzmu i przemiana Austryi w państwo niemieckie. Pierwszym samodzielnym krokiem rządu austryackiego było zamknięcie parlamentu, odroczonego od marca. Odroczenie wystarczało, bo przez nie posłowie utracili nietykalność i można ich było bezkarnie włóczyć po więzieniach. Ale zostawały biura parlamentu i prezydyum, a w niem przedstawicielstwo wszystkich ludów, którym na gwałt trzeba było odebrać równouprawnienie. Więc hr. Stürgkh ogłosił zamknięcie, a kiedy członkowie prezydyum Izby poselskiej zjawili się u niego, aby oświadczyć służalcze chęci współpracowania, oświadczył im, że parlamentu niema i prezydyum niema, ich zaś samych uważa za swoich dawnych znajomych, ale bynajmniej nie za przedstawicieli kogokolwiek. Austrya centralistyczna, oparta o Prusy, nie potrzebuje przywiązania ludów, bo je batogiem utrzyma w posłuszeństwie.

Drugim samodzielnym czynem rządu austryackiego było cofnięcie wszystkich równouprawnień językowych i zaprowadzenie

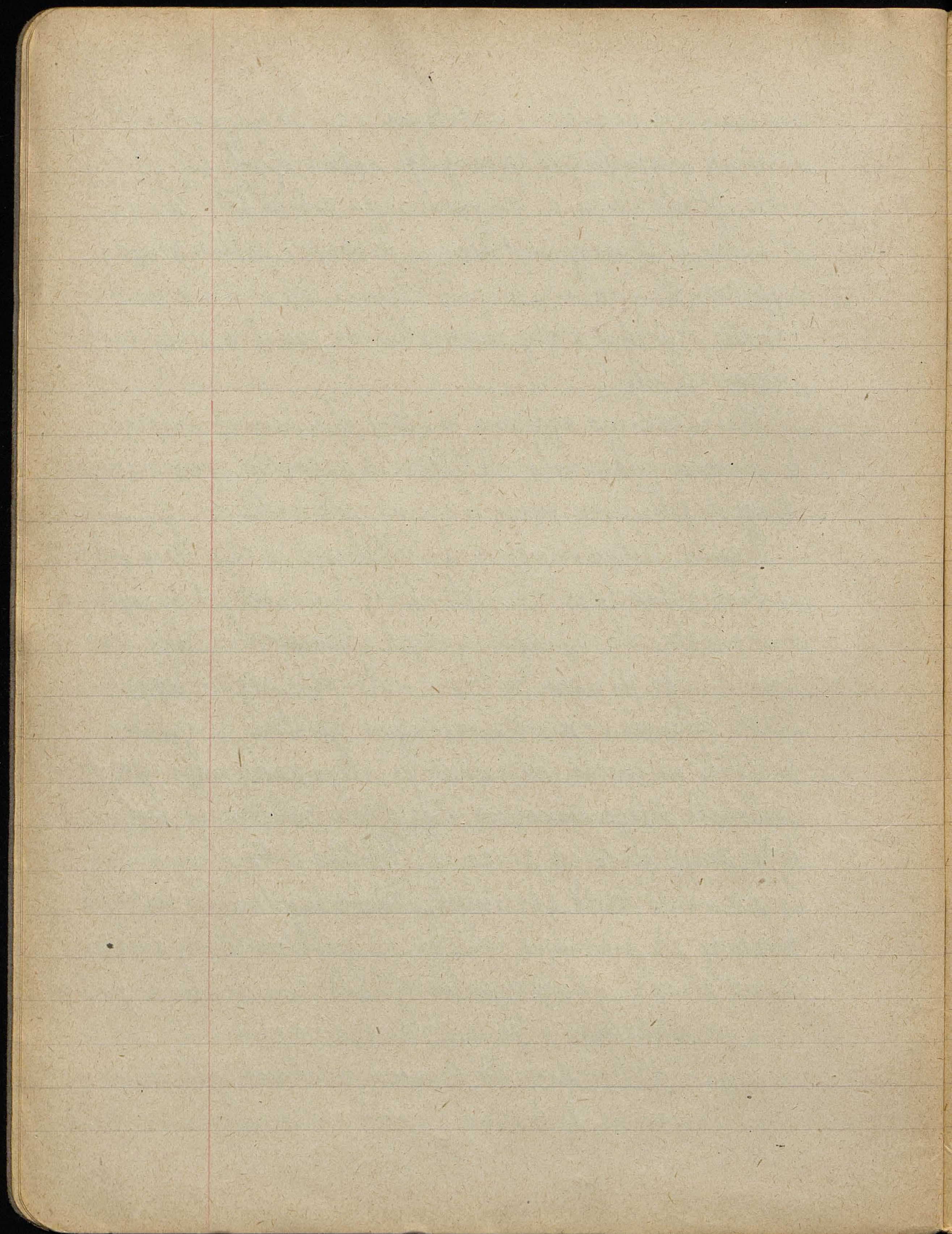
57/50

f.7

niemczyzny na kolejach i w administracyi. To były w wojnie światowej najpilniejsze sprawy tego rządu, w chwili, gdy Serbowie wkroczyli do Bośni, a Rosyanie zajęli prawie całą Galicyę i trzecią część Węgier. Wierzono, że Prusacy wnet złamią Francyę i potem przyjdą wypędzać Rosyan, więc kłopoty wojenne im zostawiono, przerabiając co prędzej zręby monarchii na państwo niemieckie i dom niewoli.

Wobec takiego systemu, ja który chciałem ograniczyć hegemonię niemiecką na Śląsku, a zagrodzić germanizmowi drogę do Galicyi, nie mogę liczyć na sprawiedliwość.

Prawda! jestem Polakiem, a z Polakami gra się teraz jakąś piekielną komedyę. Przyjęto ofiarę legionów, jakoby wyświadczano łaskę, ale niewyćwiczonych chłopców z rozbitego legionu wschodniego posłano bez broni w Karpaty, aby ich wygubić. Z łaski pozwala się pisać służalczym gazetom, że sprawa ~~je~~ Polski połączona jest z Austryą, która podejmuje ideę jagiellońską. ~~Z tego kłamstwa~~ Tem kłamstwem, ~~z~~ cierpianem tylko, mają nadzieję pociągnąć Polaków z Kongresówki do formowania band zbójeckich, Räuberbanden. Ale jest tyle pogardy dla plemienia polskiego, że najkłamliwszy z rządów nawet kłamać nie raczy wobec Polaków. Uwodzenie współbraci zostawia służalcom z Galicyi. Sam nie zobowiązuje się do niczego. I dlatego pozwala tymczasowiakom łgać, co im ślina przyniesie, tem więcej, iż obok okłamywania rodaków



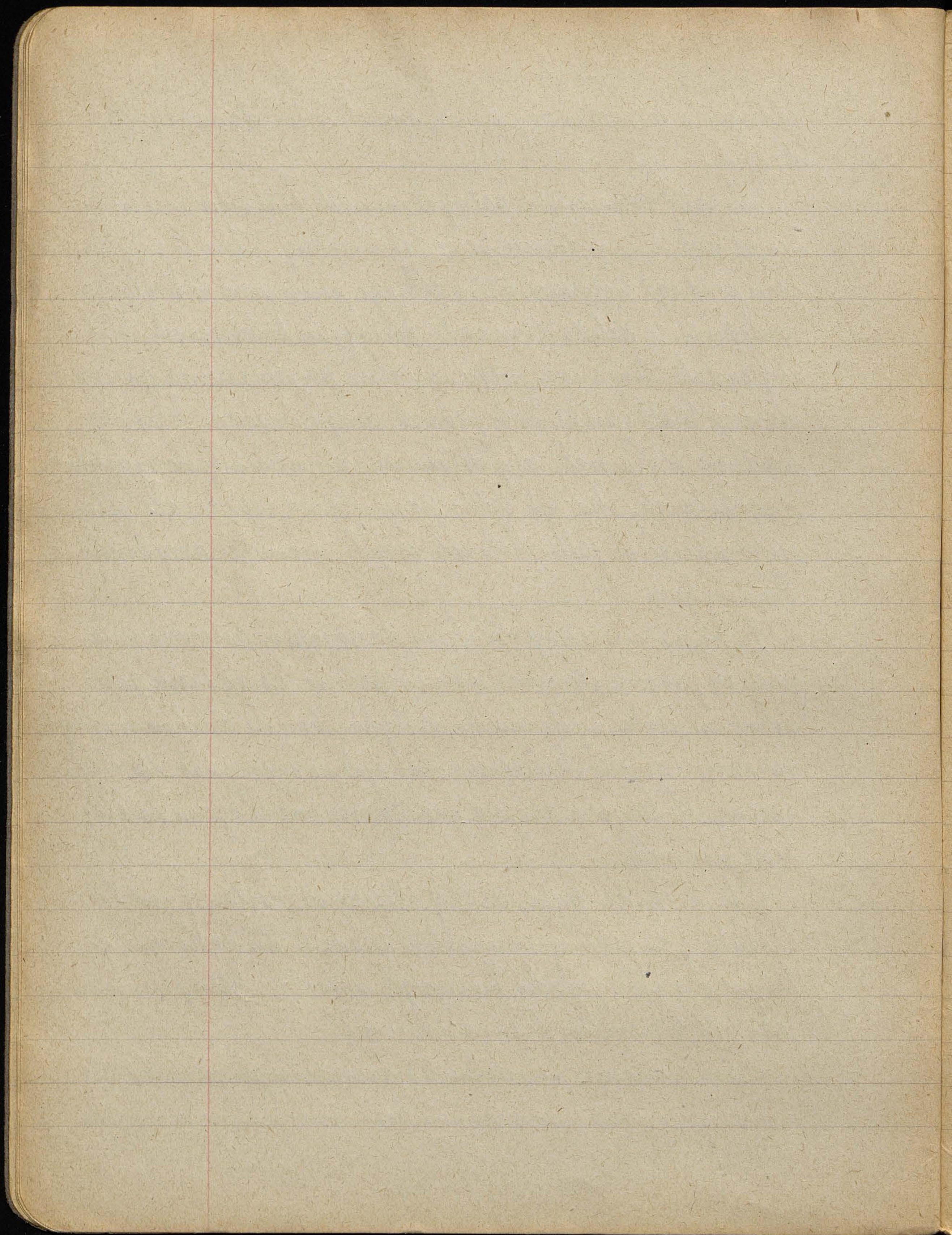
jednych, z prawdziwie psią zapamiętałością denuncyują drugich.

Ale w tej rozwięzłości patryotycznych frazesów nie wolno im pamiętać, że w Poznaniu są także Polacy. Ktoby to przypomniał, idzie przed sąd wojenny. Piłsudskiego puszczono w Królestwo w nadziei, że polska Komenda pociągnie tamtejszych Polaków, aby się dali Rosyanom wieszać celem przyspieszenia germanizacyi Wielkopolski. Za to jednak drugą brygadę legionów wysłano w Karpaty, aby Piłsudski nie miał siły do żądania czegokolwiek. Ma być tylko przynętą na szpaki, ale nie wyobrazicielem jakiejkolwiek myśli, niemniej arcyksięciu Fryderykowi.

Ja chciałem, ażeby Polakom dano jakieś zobowiązania, jeżeli się pragnie otrzymać od nich pomoc. To żądanie jest rokoszem wobec systemu hr. Stürgkha, bo rola Polaków najwyżej może być rolą Malisorów, dających się wyrzynać dla obcej sprawy. To też jako psujący grę powinienem być za wszelką cenę usunięty.

I tu zachodzi pytanie. Czy odważą się postawić mi te zarzuty, za jakie w rzeczywistości wsadzili ~~mię~~ mnie do Kozy, czy też najmą sobie jakichś fałszywych świadków, którzy mi zarzucą jakiebądź tłazeństwo karane śmiercią?

Mam wrażenie, że istotnych i prawdziwych zarzutów mi nie uczynią. Miałbym możność bronienia się i wykazania

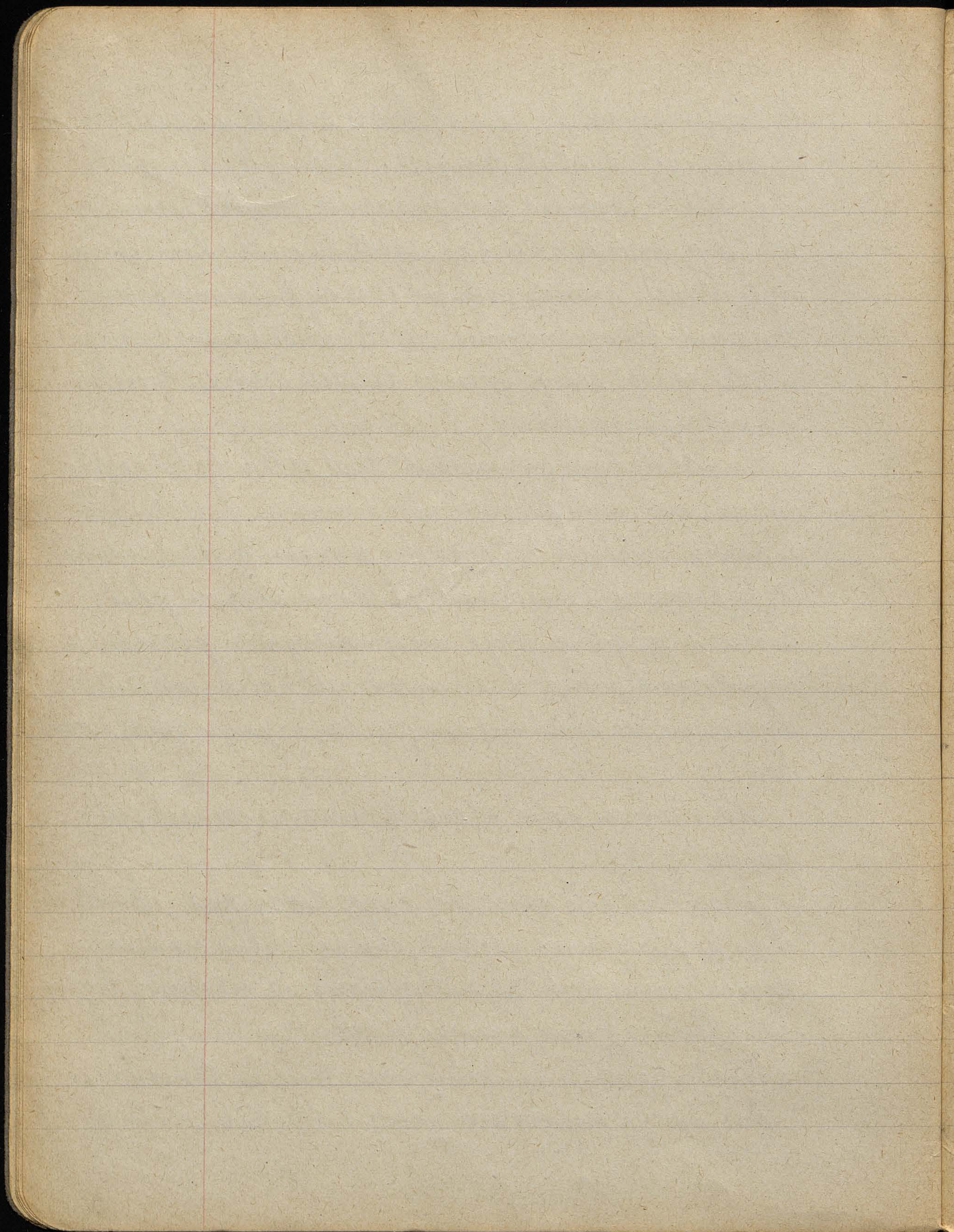


tej bezdennej obłudy, jaka się kryje w systemie austryackim od ustaw zasadniczych zacząwszy. Ustawy te zapewniają obywatelom swobodne pielęgnowanie ideałów narodowych, ale kto je dosłownie bierze, przepadł. Za czasów konstytucyjnych istniała swoboda posługiwania się frazesami patryotycznymi bez ograniczenia, ale kto chciał coś ~~coś~~ znaczyć, musiał po orgii patryotycznego gadulstwa iść do starostwa po wskazówki i rozkazy.

Wszystko to bym wypowiedział przed sądem i wtedy albo by musiano mnie uwolnić, albo uroczyście stwierdzić, że w Austryi Polakiem być nie wolno. Wolno tylko Polaka udawać. Na to zapewne się nie puszczą i skonstruują mi jakiś proces za przydługi język, włożą w usta jakieś powiedzenie, wywołujące depresyę, obrazę armii, może obrazę majestatu... Kto tam wie, na co łatwiej znajdą krzywoprzysięzkich świadków?

Ale w takim razie skazanie mnie na śmierć jest pewne.

Mogło być koło dziesiątej rano, kiedy przez otwarte okno doleciały mnie odgłosy jakiegoś ruchu na dziedzińcu. Liczne kroki po schodach, stawania, rozmowy. Czyżby się zanosiło na nową egzekucyę? Krętanina i jakieś narady skończyły się - potem cisza. Wreszcie komenda: „Habt Acht" i marsz miarowy kilkudziesięciu ludzi.

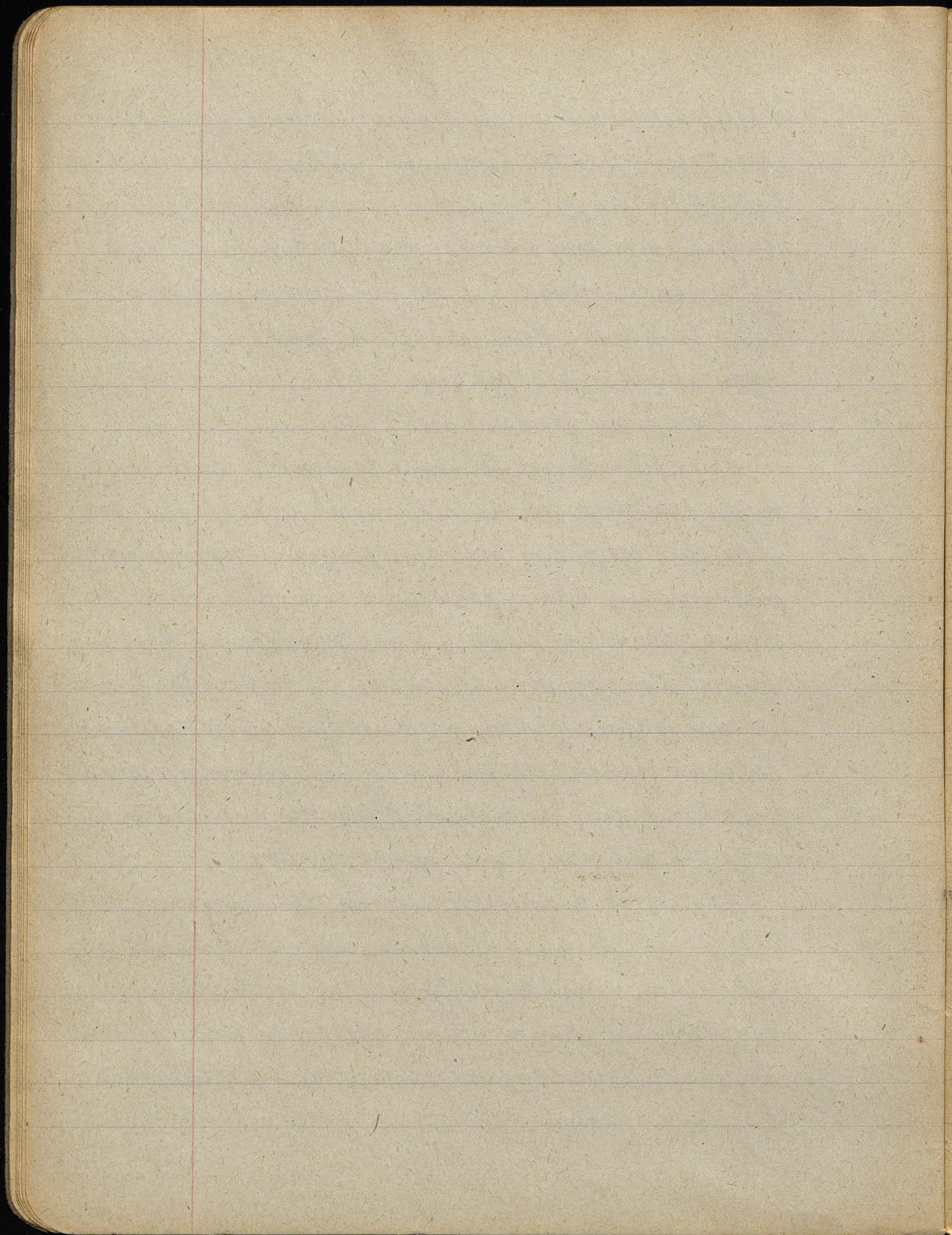


Odeszli dalej i znowu cisza długa, niepokojąca. Nakoniec zgrzyt salwy z kilku karabinów, ~~potem ko~~ a równocześnie z góry i z boków jęk niewieści, przeraźliwy, rozpaczliwy, jakby całe więzienie przepełnione było kobietami, które na komendę wrzasnęły z najwyższym wysiłkiem. Potem komenda: „Habt Acht! Zum Gebet!" i dudnienie ~~wozu~~ jakgdyby „wozu na piwo.

A więc znowu jedna ofiara!

Ta myśl wstrząsnęła mnie do głębi. Nie widziałem jeszcze egzekucyi, ale wiedziałem, jak się to odbywa. Po ukończeniu rozprawy przewodniczący nie ogłasza wyroku obwinionemu, tylko zapowiada, że to się później stanie. Tymczasem wyrok śmierci z motywowaniem posyła się komenderującemu jenerałowi do zatwierdzenia. Najczęściej jenerał tego samego dnia lub nazajutrz rano podpisuje. Czasami jednak, gdy jest zajęty, lub nieobecny, zwłoka trwa kilka dni. Jenerał może wyroku nie zatwierdzić i polecić przeprowadzenie nowej rozprawy.

Gdy wyrok podpisany, auditor (sędzia wojskowy) idzie do celi skazańca odosobnionego już od chwili zapadnięcia wyroku i wobec profosa odczytuje mu wyrok. Dwaj żołnierze zbrojni pilnują skazańca i przychodzi ksiądz. Skazaniec ma tylko dwie godziny czasu na spowiedź i spisanie ostatniej woli, czy listów pożegnalnych. Na czas

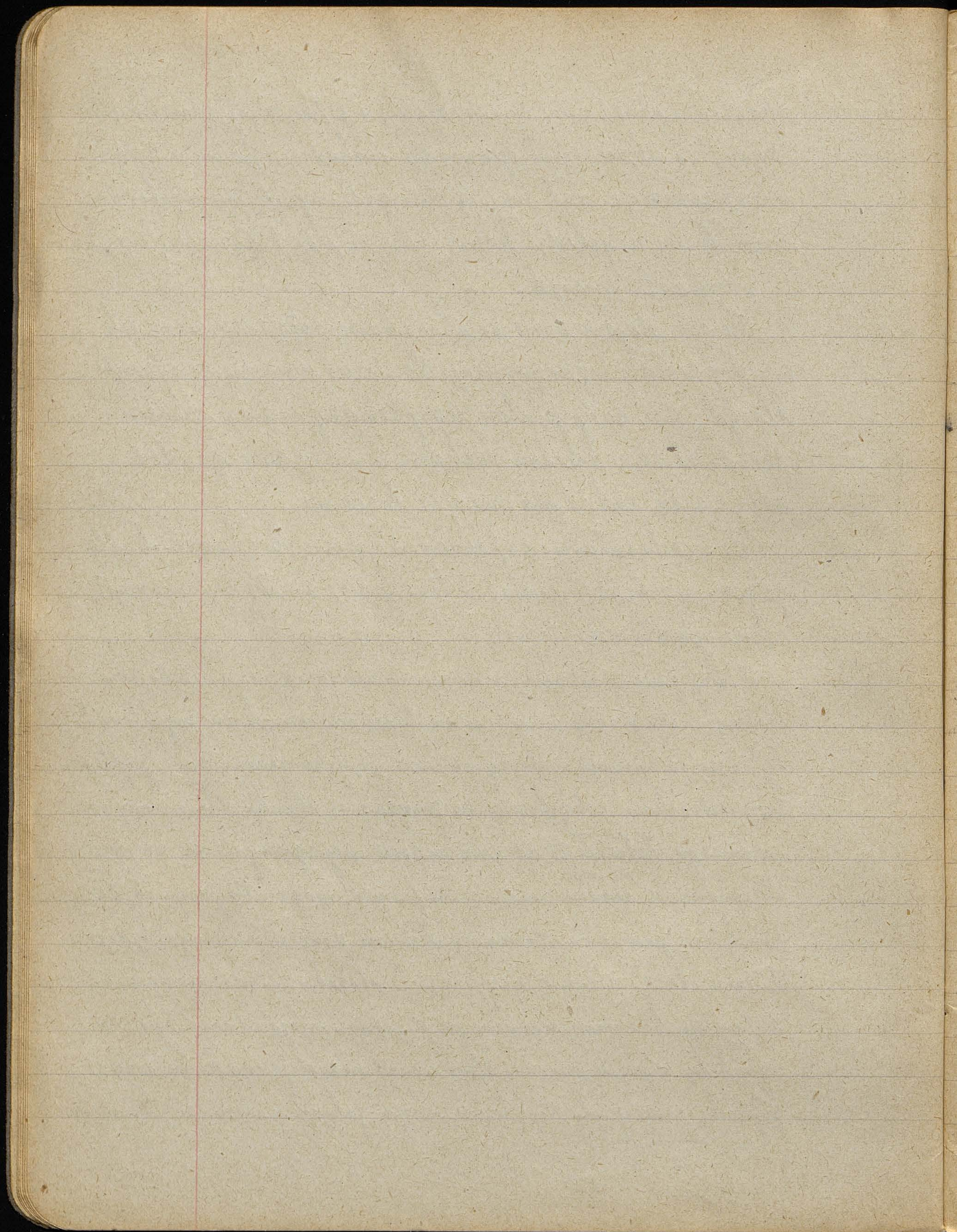


spowiedzi strażnicy opuszczają celę i pilnują jej zamkniętych drzwi. Po ukończeniu spowiedzi wchodzą znowu, a Ksiądz nie opuszcza go. Tak mijają dwie godziny. ~~Potem profos Za drzw~~ Profos przychodzi powiedzieć, że czas i komenderuje: „Vorwärts! marsch!"

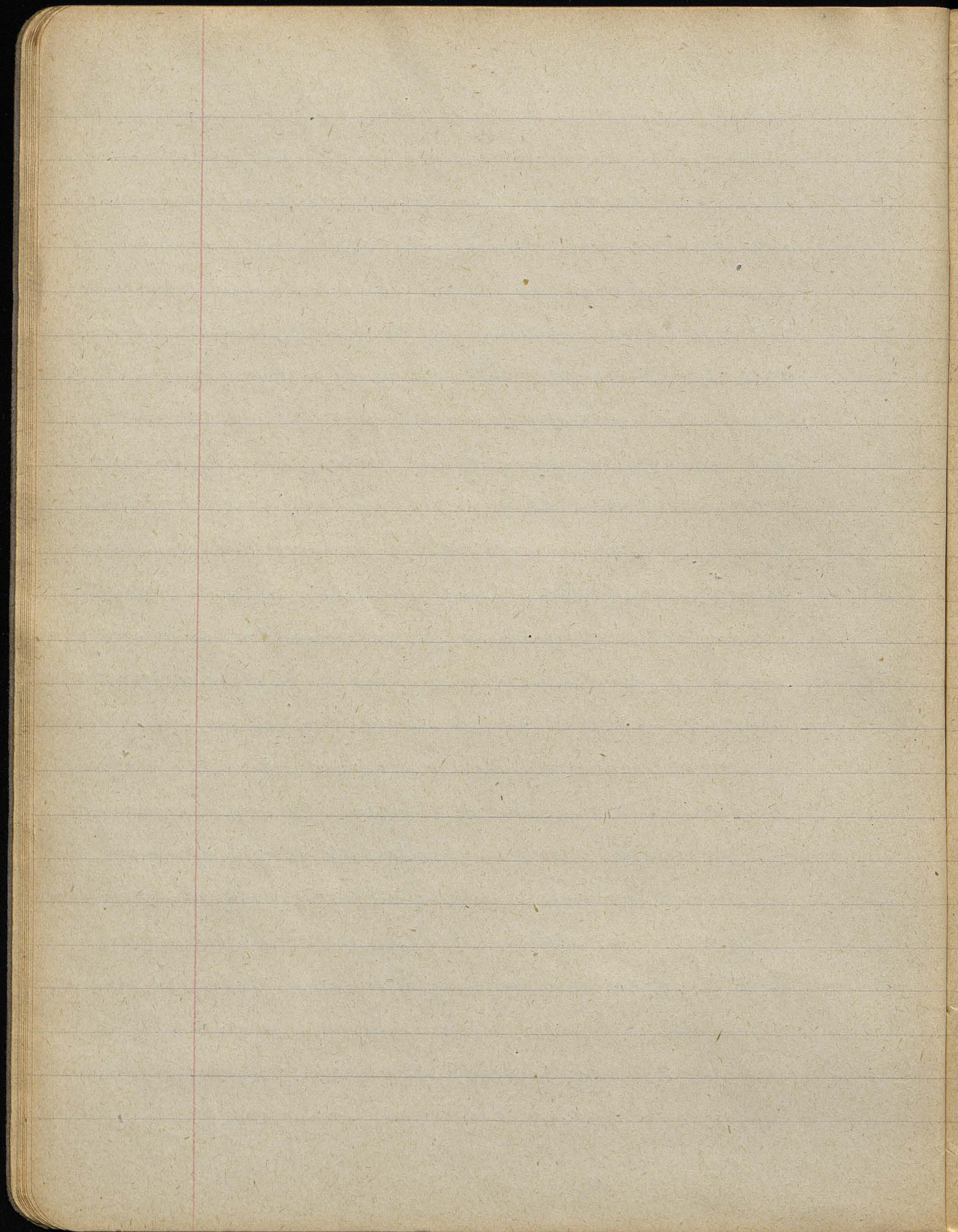
Ksiądz staje w parze ze skazańcem, żołnierze biorą ich między siebie i wyprowadzają do drzwi dziedzińca, przy których stoi cały pluton uszykowany w dwa szeregi. Ksiądz ze skazańcem wchodzą między szeregi i tak odbywa się pochód na miejsce tracenia.

To wiedziałem z opowiadań jeszcze krakowskich. Ale gdym wyobraził siebie w tem położeniu, wstrząsnął mną gwałtowny strach.

I tutaj pragnę wtrącić moje niemiarodajne zdanie o bojaźni. Według mego przekonania nie ma ludzi odważnych ani bojaźliwych, tylko są odmienne systemy nerwowe. Ja, jako neurastenik, podlegałem i strachowi i obojętności na przyczynę strachu, którą nazywa się odwagą. Zależało to od zmienności mojego systemu nerwowego. Przepędziwszy ~~siedem~~ dziesięć miesięcy na froncie, mogę utrzymywać, że porobiłem pewne spostrzeżenia. Zanim poszedłem w ogień, doznawałem obawy, ale nie przejmującego strachu. Będąc w ogniu, nie bałem się, bo byłem nerwowo przytępiony – moja odwaga była więc wynikiem słabych nerwów, które wśród nieustającego huku armat poprostu przytępiały się, ale nie mojej jakiejś waleczności. Pamiętam

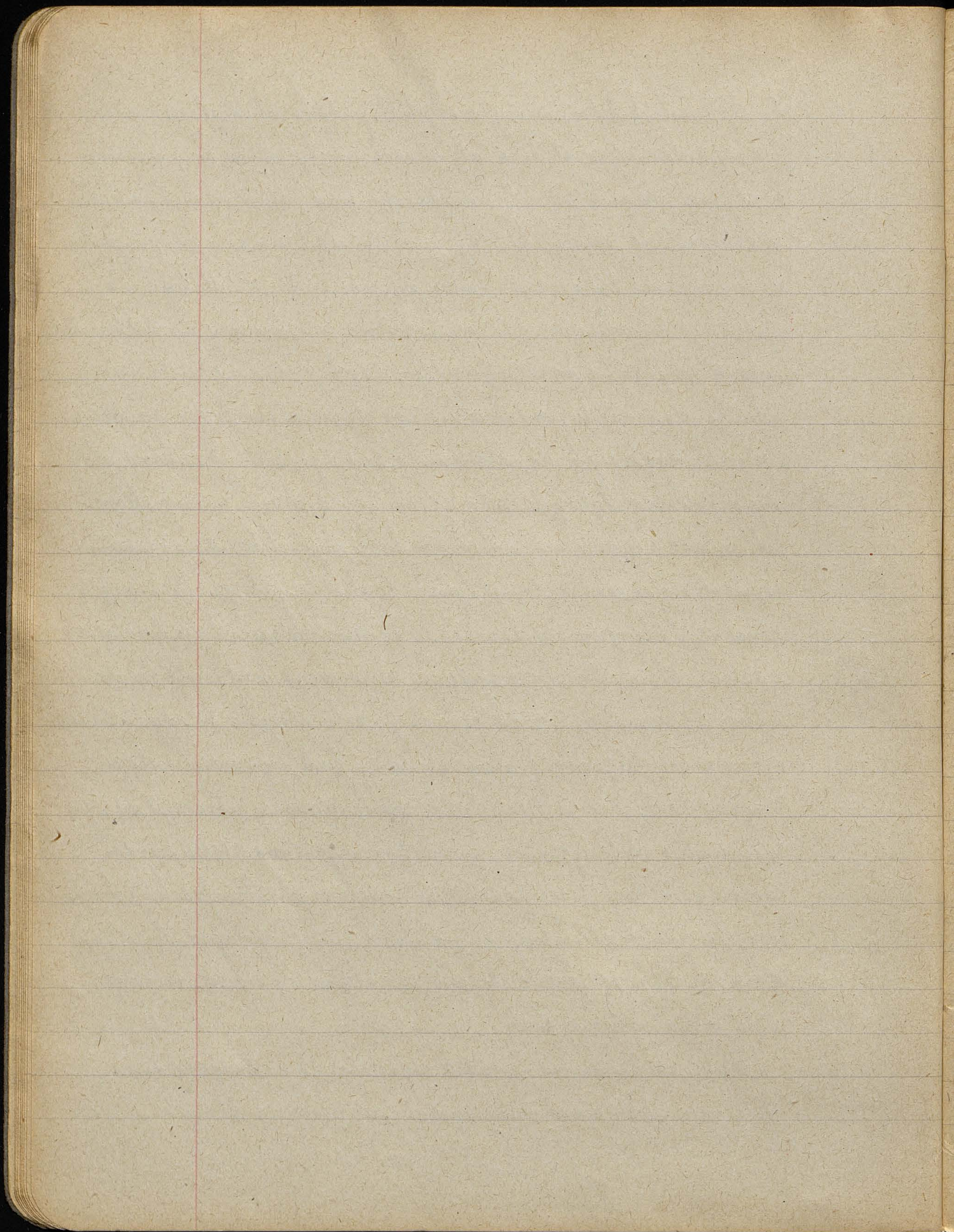


jednak, kiedy po wycofaniu nas z okopów dla uzupełnienia strzaskanego pułku, prowadzono nas powtórnie w ogień, strach niepojęty ścisnął mi serce, ~~ubezwładniał~~ nogi i przesłaniał oczy dopóty, dopóki szliśmy drogę, prowadzącą na opuszczone przed kilku dniami stanowiska pod Nową Wsią. Gdy jednak za Kostaniewicą zwrócono nas na prawo na inne stanowiska za Peczinką, strach ustąpił jakby ręką odjął i nabrałem nietylko otuchy, ale figlarnej niefrasobliwości, której udzielałem moim kamratom przez tydzień pobytu w okopach pod nieustannym ogniem ósmej ofenzywy włoskiej. To moje zachowanie się i inne okoliczności kazały komendantowi batalionu podać mnie do odznaczenia wielkim, srebrnym medalem za waleczność, chociaż byłem w karnej rocie jako szeregowiec nieczysty. I znowu, gdy się zastanawiam, nie widziałem i nie widzę w mojem ówczesnem „przykładnem" zachowaniu się nic z tego, co powieściopisarze podają do wierzenia jako odwagę lub waleczność. Nie była to u mnie owa odwaga czynna, lecz obojętność wynikająca z ogłuszenia i przytępienia zdolności do percepcyi nerwowej. Powiem więcej: Spałem w okopach wśród huku bombard, które prócz ~~[illegible]~~ siedemnastu najbliższych towarzyszy, zmiotły całą resztę kompanii z piaskiem i kamieniami, a podskakuję, gdy ktoś przy mnie rozbije talerz o podłogę i odczuwam fizyczny ból w plecach. Siedziałem w Karyntyi na szczycie Lipnika, patrząc spokojnie w przepaść kilkuset metrową, a są chwile, kiedy z okna trzeciego piętra ~~nie~~ mogę spojrzeć w ulicę, aby nie zadrżeć ze strachu przed tą wysokością.

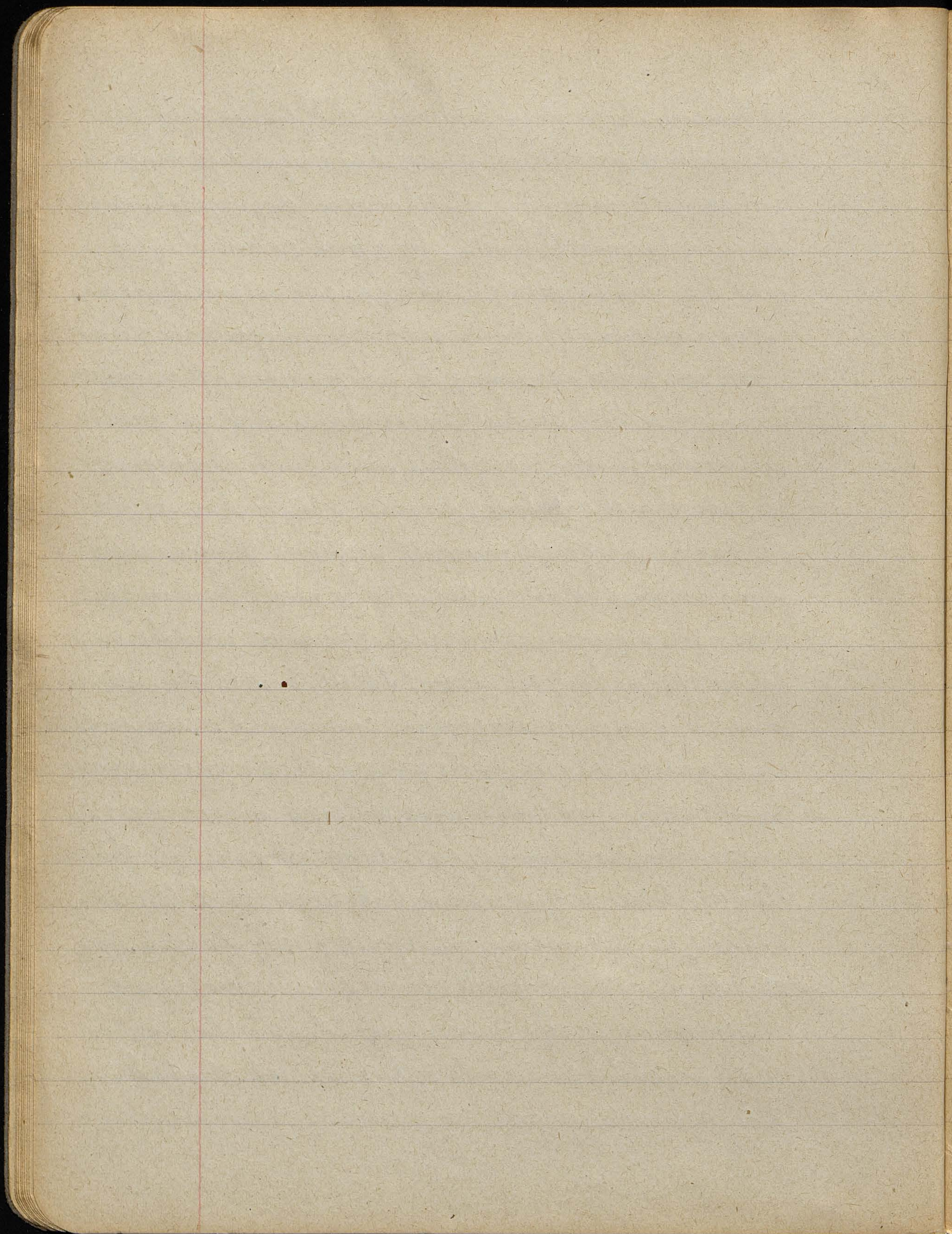


Za studenckich lat w ponure czasy listopadowe chodziłem o północy na cmentarze bez strachu, ale nieraz zamykałem oczy z trwogi, kiedy mi przyszło przejść wieczorem ~~prz~~ jakąś niewinną, ale nieoświetloną przestrzeń. Czy można stąd wnioskować, że jestem równocześnie tchórzem i lwem odwagi? Piszę to dlatego, że w Austryi wyrokiem sądu rozstrzeliwano żołnierzy za tchórzostwo „wegen Feigheit", a mnie się wydaje, że tych żołnierzy trzeba było odesłać do zakładu wodoleczniczego. Widziałem ludzi opuchłych z płaczu i dygocących na całem ciele pod ogniem granatów, ale wnioskowałem tylko, że mają zdrowsze od moich nerwy, skoro tak mocno reagują na nieludzkie huki wybuchów. Nie widziałem w mojej obojętności żadnego tytułu do chwały, jak go nie widzę u głuchego, który się nie odwraca, gdy mu kto za uchem trzaśnie z batoga. Wyższość mojego systemu nerwowego nad inne leżała w tem, że umiałem nie pokazywać po sobie strachu, kiedy się bałem, a byłem obojętny, kiedy nieprzerwany huk wyczerpał i stępił moją zdolność reagowania. I nie myślę kłamać, ubierając się w jakieś męstwo nadzwyczajne, mimo propozycyi na wielki medal waleczności, lecz piszę prawdę, że miałem chwile strachu i chwile obojętności tak absolutnej, że na strach nie było miejsca. Szczęściem dla mnie było, że chwile strachu nie stanowiły nawet dziesiątej części czasu ogniowej próby.

Toteż całkiem bez ogródek wyznaję, że w drugim dniu więzienia doznałem nadzwyczajnego uczucia strachu. Bałem



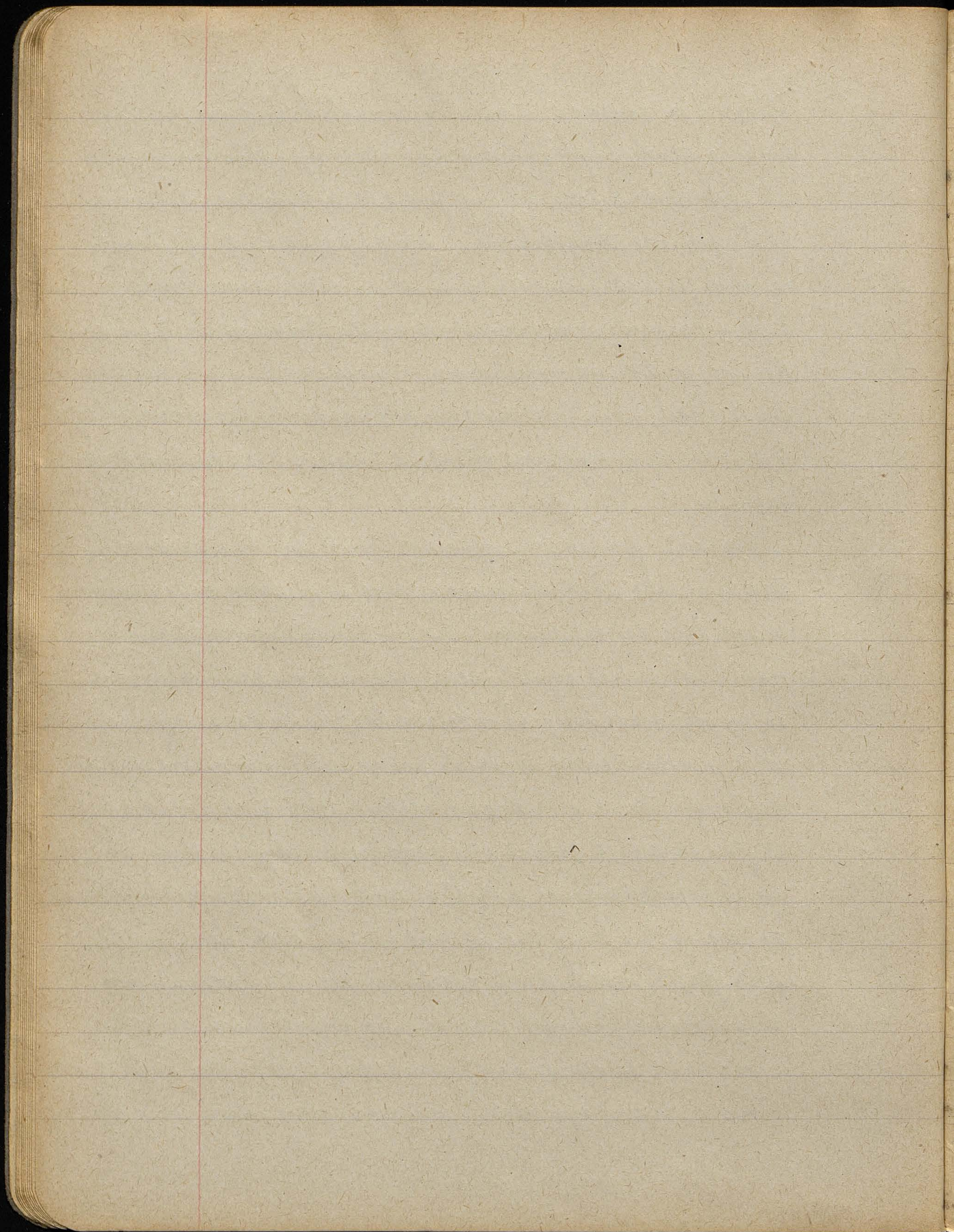
się śmierci. Był to strach mieszany jakiś. Naprzód strach przed tym wielkim znakiem zapytania, co się nazywa tajemnicą zagrobową. Jest to, zdaje mi się, skutek naszego chrześcijańsko-pogańskiego wychowania. Chrześcijaństwo w praktyce katolickiej tak grozi wiecznem potępieniem, tak wymagającym przedstawia najwyższego Sędziego i tak nieubłaganym, że choćby człowiek później wyrobił sobie pogląd odmienny, to jeżeli w młodości był skrupulatem nabożnym, w chwili ostatniej to nasiąknięcie groźbami przejawi się w strachu. Ja sobie nie wyobrażałem ani wieczystego ognia, ani żadnych mąk z Boskiej Komedyi, a bałem się czegoś nieokreślonego, jakiejś złej ~~wieczności~~ przyszłości. Ale może więcej jeszcze niż złej wieczności bałem się końca, nicości. Dziwna rzecz – przez całe życie wyznawałem zasadę: „wyznasz człowieku, czemkolwiek byłeś, że lepiej być niczem." I właśnie najbardziej drżałem przed tem, że mogę naprawdę obrócić się w nicość. A przecież gardziłem zawsze życiem. Jest więc głęboka przepaść między przekonaniami, wyrobionemi wśród spokoju życia, w które się wierzy szczerze, z przeświadczeniem, że zawierają całą i istotną treść duszy, a instynktem, który przychodzi do głosu w pewnych okolicznościach. # Otóż ten instynkt samozachowawczy, o którego sile pierwej nie wiedziałem, sprawiał, że całe moje jestestwo trzęsło się ze strachu i zgrozy. Wspominiałem wyżej o naszem pogańskiem wychowaniu. Za resztki pogaństwa, uważam te bajki o widmach, strachach i okropnych nadzwyczajnościach, przeważnie niedorzecznych,



któremi zwłaszcza na wsi karmiło się wyobraźnię dzieci aż do wywoływania ciarek. Z tych opowieści nie zostaje w pamięci żaden wątek, ale zdolność do drżenia z trwogi przed każdą tajemnicą, która może kryć nieznane okropności, ta się ~~przypo~~ odzywa z potęgą, kiedy człowiek jest zostawiony samemu sobie w oczekiwaniu końca. Było więc w moim przejmującym do szpiku strachu wiele tej pierwotnej bojaźni przed czemś nieznanem, nienazwanem, nieokreślonem. Był to Strach, jakiś opętanie przez płośliwe bóstwo pogańskie, jakaś trwoga bardzo pierwotnego człowieka przed zastraszającą nadzwyczajnością.

Daremnie próbowałem przenieść myśl na inne przedmioty, daremnie chciałem odnawiać wczorajsze wspomnienia dawnych czasów. Wczoraj zatapiałem się w nie tak, że zapominałem o rzeczywistości, dziś wywoływane przemocą nie przychodziły, nie zajmowały władz duszy, bo się bałem. Zdaje się, że druga egzekucya w tak krótkim czasie, wywołała pewną zmianę w moim układzie myślowym. Mimo, że i wczoraj mówiłem sobie, iż mnie czeka niechybna śmierć, to jednak poza progiem świadomości musiało trwać przekonanie, że „mnie" przecież nie zabiją. A wiedziałem, że zabijają bez liczby i rozeznania – wiedziałem, lecz tego nie przeżyłem. Teraz ta druga egzekucya musiała i sam ten ~~nie~~ podświadomy instynkt przekonać, że śmierć mnie czeka napewno. To też bałem się, cały byłem jednym strachem.

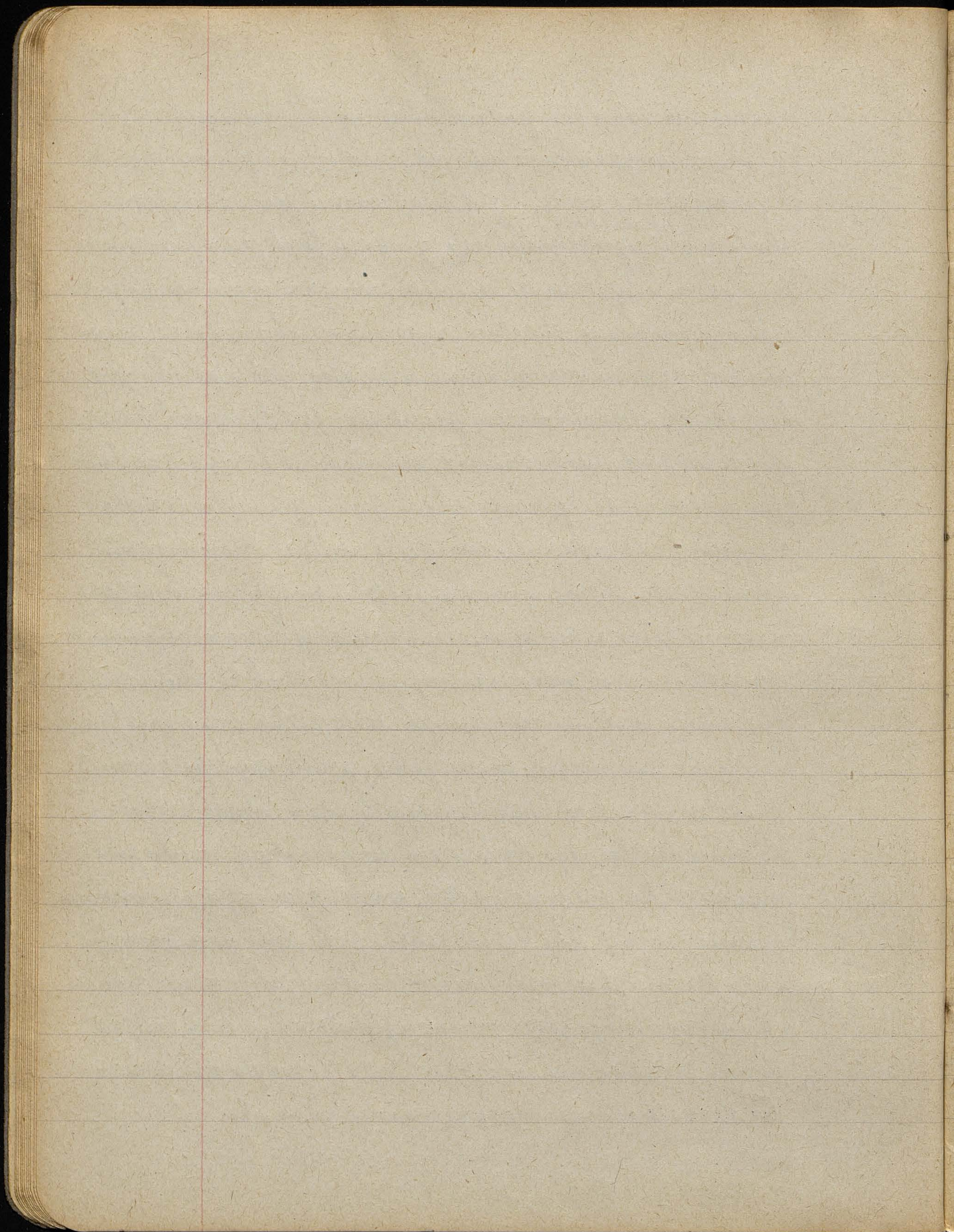
Widząc, że się z objęć strachu nie wyrwę przez żadne sztuczki



i usuwania się na bok, postanowiłem zajrzeć mu w oczy.

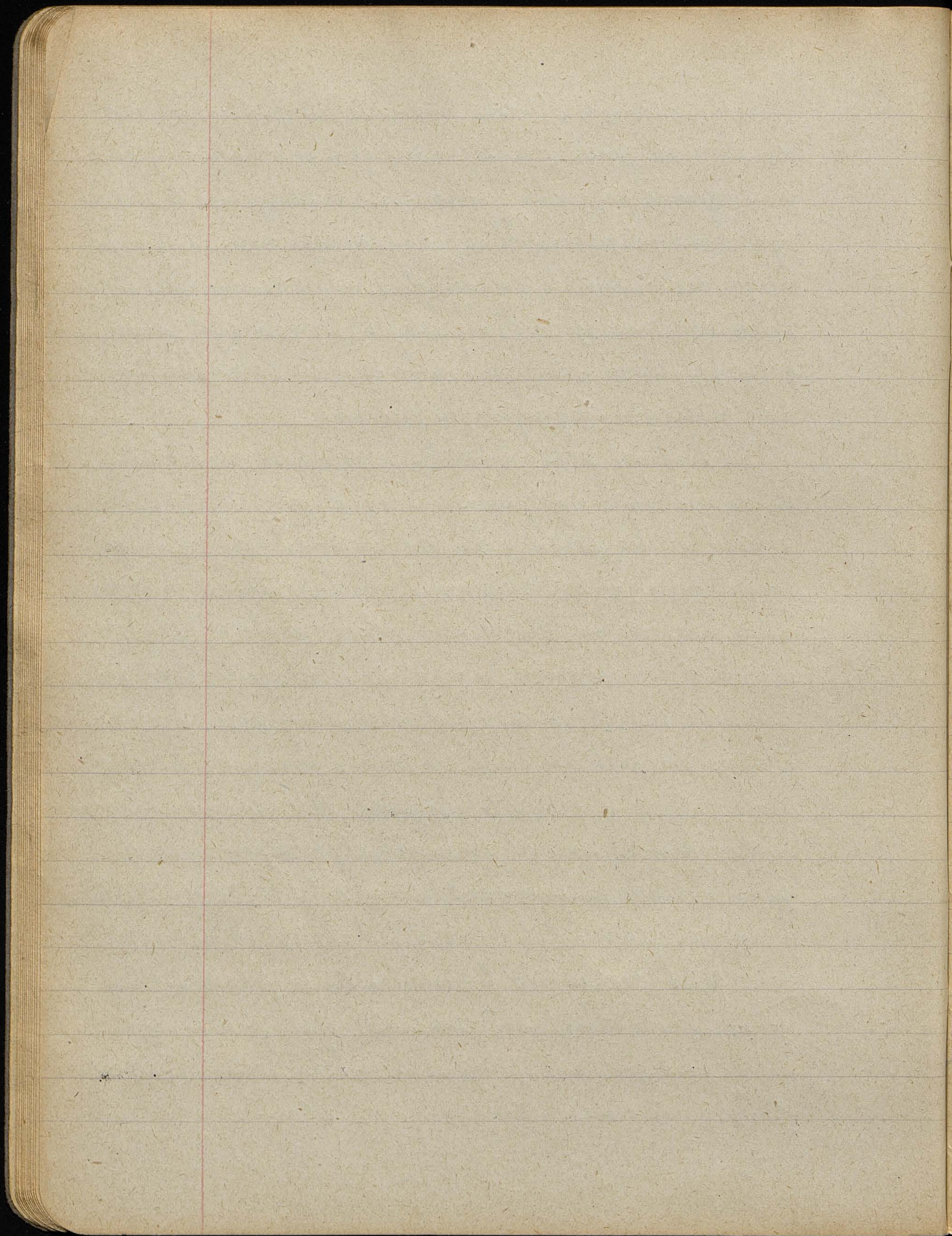
A więc: przypuśćmy, że jest życie pozagrobowe i przypuśćmy jego najstraszniejszą formę, to jest Katechizmową. Jedno z dwojga: albo tam jest ~~wyrozumiałość~~ sprawiedliwa, albo jej niema. Jeżeli jest wyrozumiałość, tedy za moje życie bez fałszu i złości należy mi się wzięcie. Ta jednak część rozumowania zupełnie mnie nie uspokoiła. Dobrze! Przypuśćmy, że wyrozumiałości nie ma, że ten Bóg – jak to piorunujący kaznodzieja wioskowy czasem przedstawia – jest tyranem, zakładającym sidła na słabość człowieka, sadystycznie polującym na każde jego niebaczne słówko, myśl, zachcenie i notującym każdą chybę z wyrokiem: wieczne piekło. Przed taką złośliwą wszechmocą nie obronię się żadnymi zabiegami. Dał mi takie braki w umyśle, w duszy, w ciele, że przez samą konstrukcyę swej istoty musiałem popełniać rzeczy, które mi się ~~pod~~ niepodobają, a więc niech się znęca nad bezwolnem dziełem rąk własnych. Wolę piekło w towarzystwie cierpiących, niż niebo w towarzystwie samolubnych pochlebców.

Nie rozprowadzam tutaj tych myśli, aby uniknąć zarzutu bluźnierstwa taniego. Zaznaczam, że nadzwyczaj szeroko przemyślałem ten przedmiot, a bunt przeciw przemocy i poszanowanie godności osobistej, taka republikańska nieugiętość dodały mi tej mocy, że nietylko przemogłem ten strach, ale z niego drwiłem i prowokowałem go. A tak mocno wgłębiałem się w tę dziedzinę strachu, że odtąd ani razu przez długi czas pobytu w więzieniu już się nie powtórzył. Zmogłem go raz na zawsze.



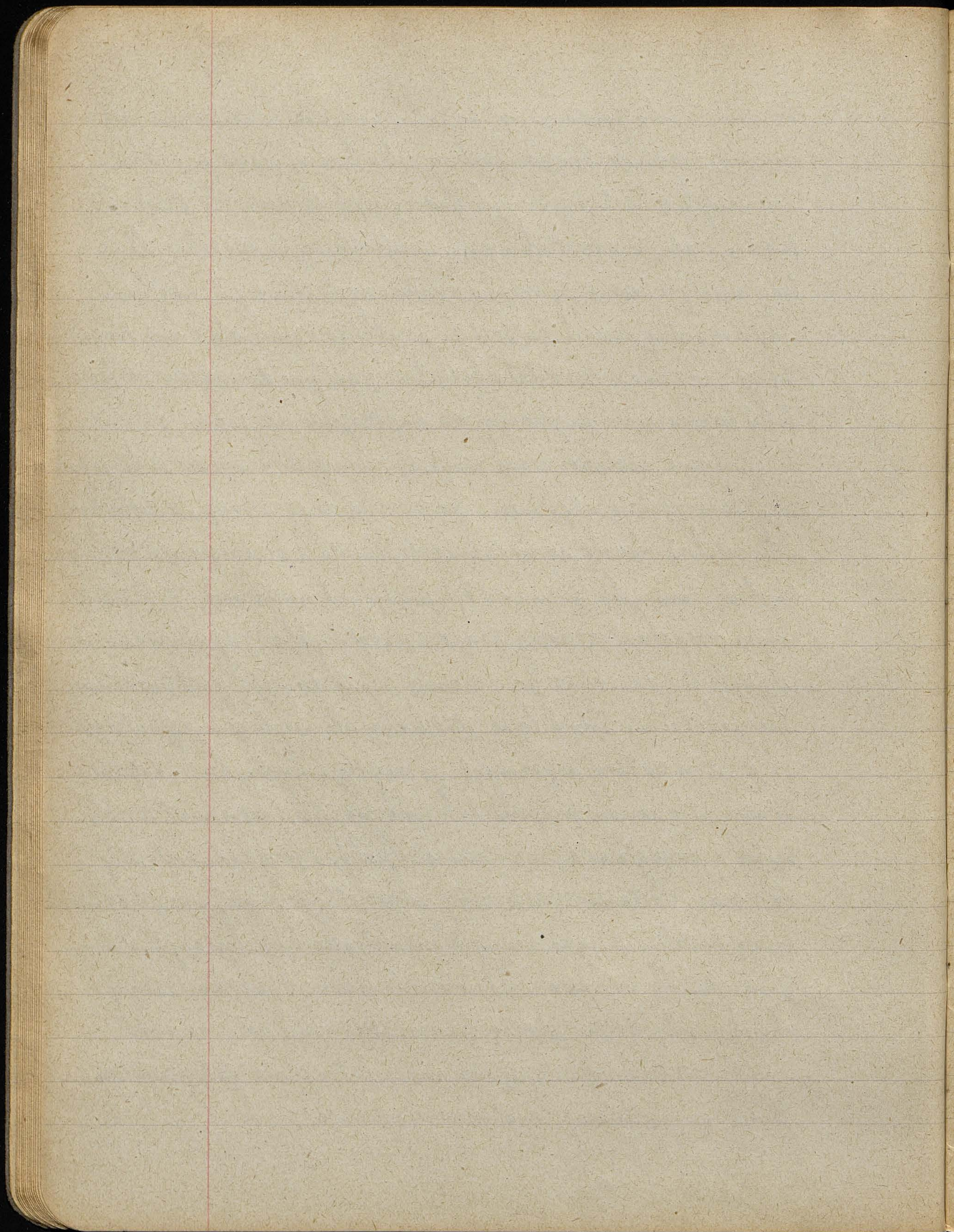
Powiadają, że ten rodzaj strachu nieznany jest Chińczykom. Mam więc słuszność, przypuszczając, że my go w sobie hodujemy przez mitologiczne, pogańskie wychowanie i że podsyca go ta strona wychowania religijnego, która jako jedynego węzła wiary używa metody zastraszania. Ja w dzieciństwie miałem nieszczęście słyszenia prawie bezustannego tych „piekielnych", piorunujących i ~~wiecz~~ grożących jakimś zaciekłym ~~w~~ a zarnodziej w polowaniu na słabości ludzkie niestrudzonym i wymyślnym Bogiem.

Już trudniej poszła mi walka ze strachem przed nicością. Szkoła wykrzywiła moje pragnienia; żywoty nieśmiertelnych wodzów i artystów postawiły mi jako jedyny cel godny życia: ~~nie~~= nieśmiertelną sławę. Zawsze w moich myślach operowałem wiecz= nością, jako pojęciem bliskiem, znanem, naturalnem. Gdybym w życiu był dokonał czegoś, po czem sława musiałaby trwać przez pokolenia, nie byłbym może czuł takiej obawy przed nicością. Ale zejść ze świata bez śladu, jak jedno z niezliczonych źdźbeł trawy, skoszonej na łące, to okropność. Po co więc żyłem? Czy warto rodzić się, cierpieć, pracować, aby żołądkowi zapewnić pokarm, a ciału ~~pożywienie i~~ odzież przez lat 60, 70, 80? Wobec wieczności przecież i sto lat życia jest niczem. A cierpienie w życiu tak dokuczliwe. Jedna tylko służba jakiejś wielkiej sprawie, służba której niezatarte ślady przeciągną się daleko poza grób, może być równoważnikiem cierpienia, nieod= dzielnego od samego faktu życia.



Daremnie sobie powtarzałem, że żadna pośmiertna sława nie jest wieczną, daremnie przypominałem sobie tuziny nazw narodów, notowanych w Biblii i w innych starożytnych dziełach, które zginęły tak bez śladu, że nawet ich umiejscowić dziś niepodobna. I te ludy miały z pewnością mężów zasłużonych, sławnych, wielkich – a dziś żadna pamięć nie została nietylko o nich, ale i lud, któremu służyli czy panowali, został absolutnie pustym dźwiękiem bez treści. Takie rozważania przynosiły mi uspokojenie, ale bardzo gorzkie.

Wreszcie postanowiłem wziąć się, wmyślić i wczuć w te godziny, które postają skazańcowi po wyroku do egzekucyi, a zwłaszcza w te ostatnie chwile prowadzenia do słupka i czekiwania na salwę. Wyobrażałem sobie, że muszą być długie jak wieczność i że nawet w tym niepokoju rozpaczy kończą się zbyt szybko. Gdy stawiałem się w położeniu skazańca przejmowało mnie do głębi, postanowiłem nie uchylać się przed tym strachem, ale wejść w niego, wziąć się z nim zabary, wyczerpać go myślą i wyobraźnią. Zagłębiłem się więc w te chwile przyszłe tak mocno, żem się spocił z natężenia i zmogłem się na koniec. Spokój i pogarda wstąpiły we mnie. Postanowienie, żeby ~~pom~~ siły wykonywujące egzekucyę traktować jako biednych niewolników, pełniących służbę pomocników zabójcy, nadało mi tę pewność, że w ostatniej chwili nietylko nie stracę panowania nad sobą, lecz że z godnością i dumą wstąpię na miejsce tracenia, jak przystało ofierze najpodlejszego systemu rządowego.

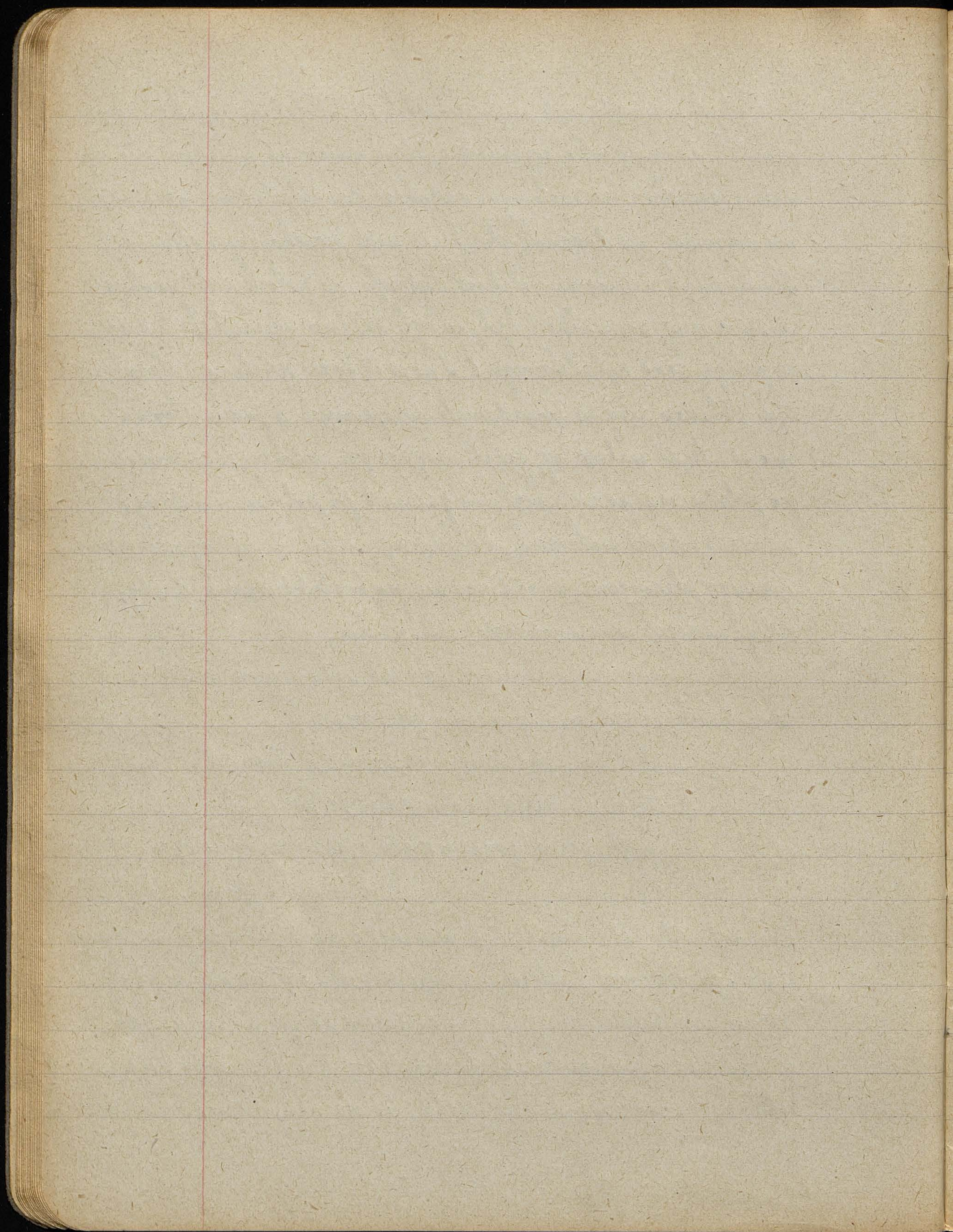


Po tych wewnętrznych szamotaniach się został mi spokój i ogromny smutek. Że mną robią ceremonie, które mnie od śmierci nie wyratują, ale ilu nieszczęśliwych rodaków zginęło bez tych ceremonii, ~~wy~~ wieszani na drzewach, strzelani przez uciekających oficerów? Ilu biednych żołnierzy Polaków zginęło na polach walk za chwałę Niemczyzny, za wielkość tych, co byli katami wrzesińskich dzieci, za potęgę cara cytadelowego? I po co ta krew przelana? Poszyła się tych Polaków, żeby się mordowali wzajemnie, a jedna strona mówi: bądź waleczny, jeśli zwyciężysz, zabroni ci się mówić po polsku (waspraszczajet sia gawarit pa polskie) - a druga powiada: bądź waleczny, bo chcemy przyspieszyć wyniszczenie waszego plemienia. Mordujcie się po bratobójczemu, ażeby przyspieszyć wasze narodowe skonanie.

W tem udręczeniu przyszła mi na usta pieśń przytoczona przez Sienkiewicza w „Ogniem i mieczem":

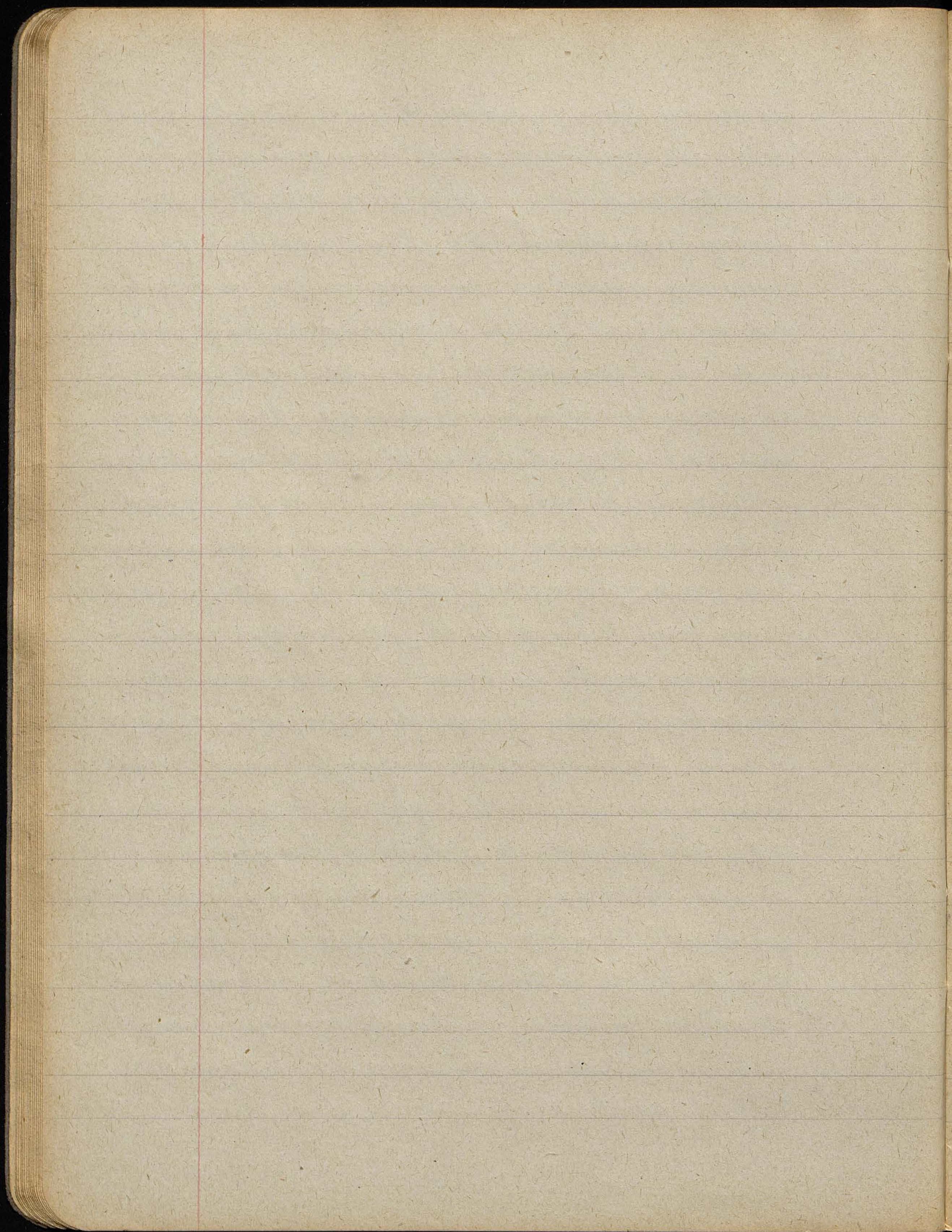
I w noc i we dnie wołam do Cię Panie:
Pofolguj męce i łzom żałościwym.
Bądź mnie grzesznemu ojcem miłościwym:
Usłysz wołanie.

Prawie trzysta lat temu ów jęk wyszedł z duszy wśród krwi, ognia zarazy i śmierci i odtąd jęk ten nie opuścił naszej biednej ziemi, lecz stawał się hymnem rozpaczy całych pokoleń. Jak ja wtedy odczuwałem wartość doniosłą każdego tego słowa, żebrzącego o miłosierdzie w niebie, bo na ziemi nie było miejsca



na nadzieję. I ja tej nadziei wówczas nie miałem. Nie nadziei osobistej, ale narodowej. We zmaganiu się ówczesnych potęg nie widziałem dla Polski żadnego promienia – Polacy, kłócący się o oryentacyę, wydawali mi się kłócącymi się tylko o kolor obroży, która niechybnie musi zaciągnąć się na ich szyjach i ~~ich~~ odebrać życie – pruska czy carska obroża, to było pytanie.

Było już po południu, w oknie okazywały się czerwonawe odblaski zachodu, kiedy nagle otwarły się drzwi do mojej celi i zamknęły się natychmiast za wpuszczonym przybyszem. Był to żołnierz daleko po trzydziestce. Pod rozpuszczonym brudnym płaszczem sinego koloru przyniósł jakieś zawiniątko także nie pierwszej czystości i rzucił w kąt, nie patrząc na mnie, poczem zaczął chodzić, pogwizdując przez zęby z wyrazem: „Niech dyabli biorą wszystko." Z pod zaciśniętej czapki zmaltretowanej wysuwały się długie kosmyki włosów, zapewne zapuszczone w okopach, więc wzdrygnąłem się na myśl, że mogą kryć robactwo wojenne. Ani zmięta czapka ani rozwiany płaszcz nie dawały pewności, że ~~to~~ są wolne od plugastwa. Przykucnąłem więc na siennikach i patrzyłem z niepokojem. Twarz przybysza jakaś zawzięta i pomarszczona, niegolona od tygodni, miała za ozdobę rzadkie, jakoby podskubane wąsy, koloru rudawego. Uderzał nos niewielki, zakończony doskonałą, niewielką kulką, ale nienagannie foremną, jak młoda purchawka. Kulka ta miała barwę płomienistą, jakoby zastarzałe prze-



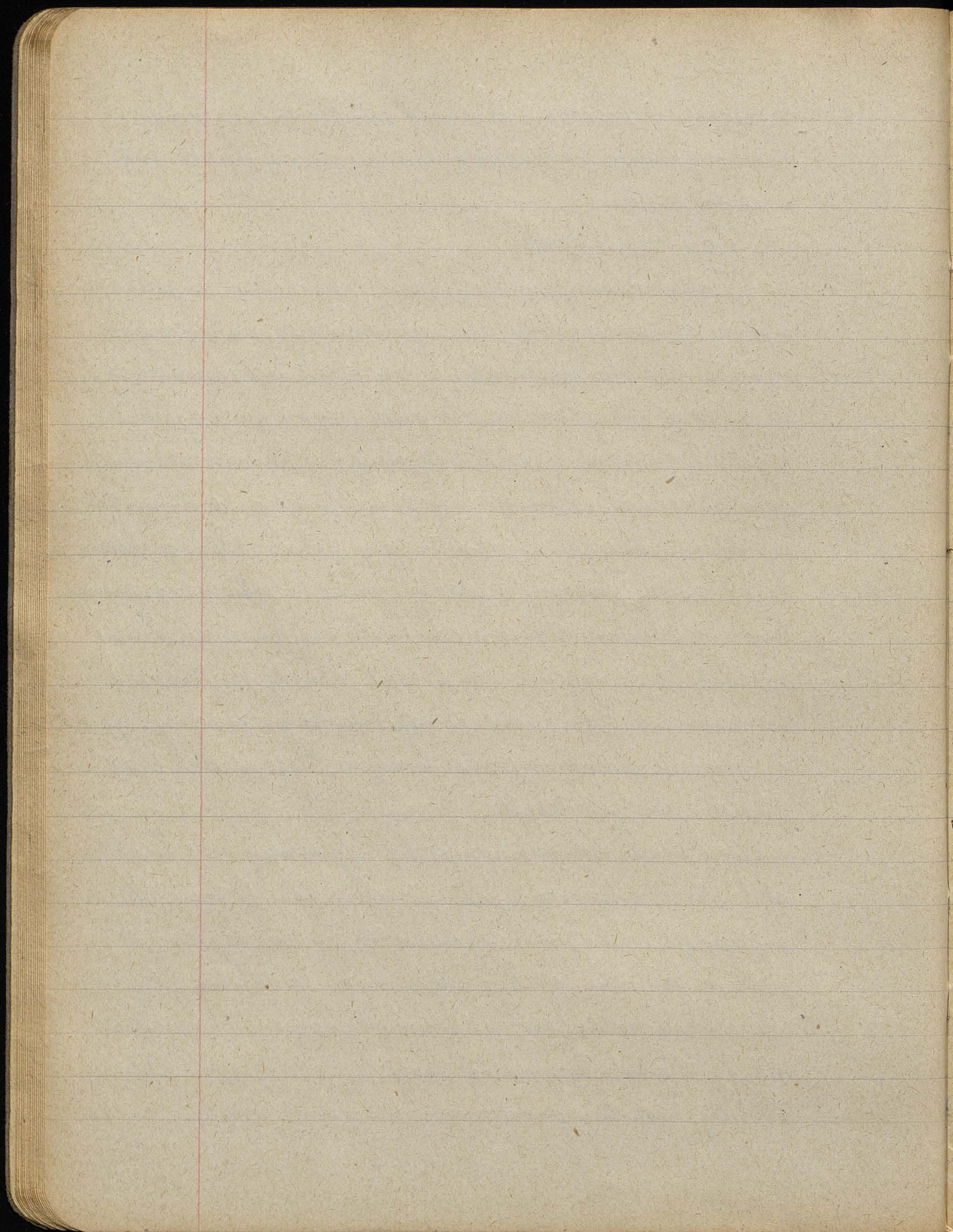
mrożenie. Przymrużone siwe oczy patrzyły nieprzytomnie. Po dłuższej chwili niezważania na mnie, stanął przedemną i zapytał szybko:

– Dajć, polniś, bemiś?

Odpowiedziałem, żem Polak. Zaczął i on mówić po polsku, a raczej po wasserpolsku, używając mnóstwa przekręconych wyrazów czeskich i niemieckich. Poznałem natychmiast, że mam przed sobą Harhara. Rozpuścił język i wziął opowiadać, że jest z Bogumina, że już kilkakrotnie był karany w sądzie garnizonowym za niesubordynacyę, pobicie itd. Opowiadał, jak obił feldwebla, jak się bronił przeciw patroli, która go chciała brać, i przy tej sposobności poranił wielu itd. Niema co: zacnego towarzysza dostałem. Poza pijaństwem i bójkami nie umiał opowiadać o niczem innem. Obecnie za burdę już trzy razy był przenoszony z więzienia do szpitala, bo go podejrzywają o zboczenie czy pomieszanie umysłu. Dziś odesłali go ze szpitala, jako poczytalnego.

Ani słowa: dobrana kompania. Gdy w nocy będę leżał obok niego, gotów mnie przez pomyłkę zacząć dusić. Nie zapuszczałem się z nim w pogawędkę, aby nie dopuścić do zbytniej poufałości, ale tego nie widział. Kilka razy powiedział mi z wasserpolska „oni", ale mu nie było składnie i przeszedł na „ty". Ha no! Koza równa stany.

Z tego kłopotu wyrwał mnie klucznik, wołając:



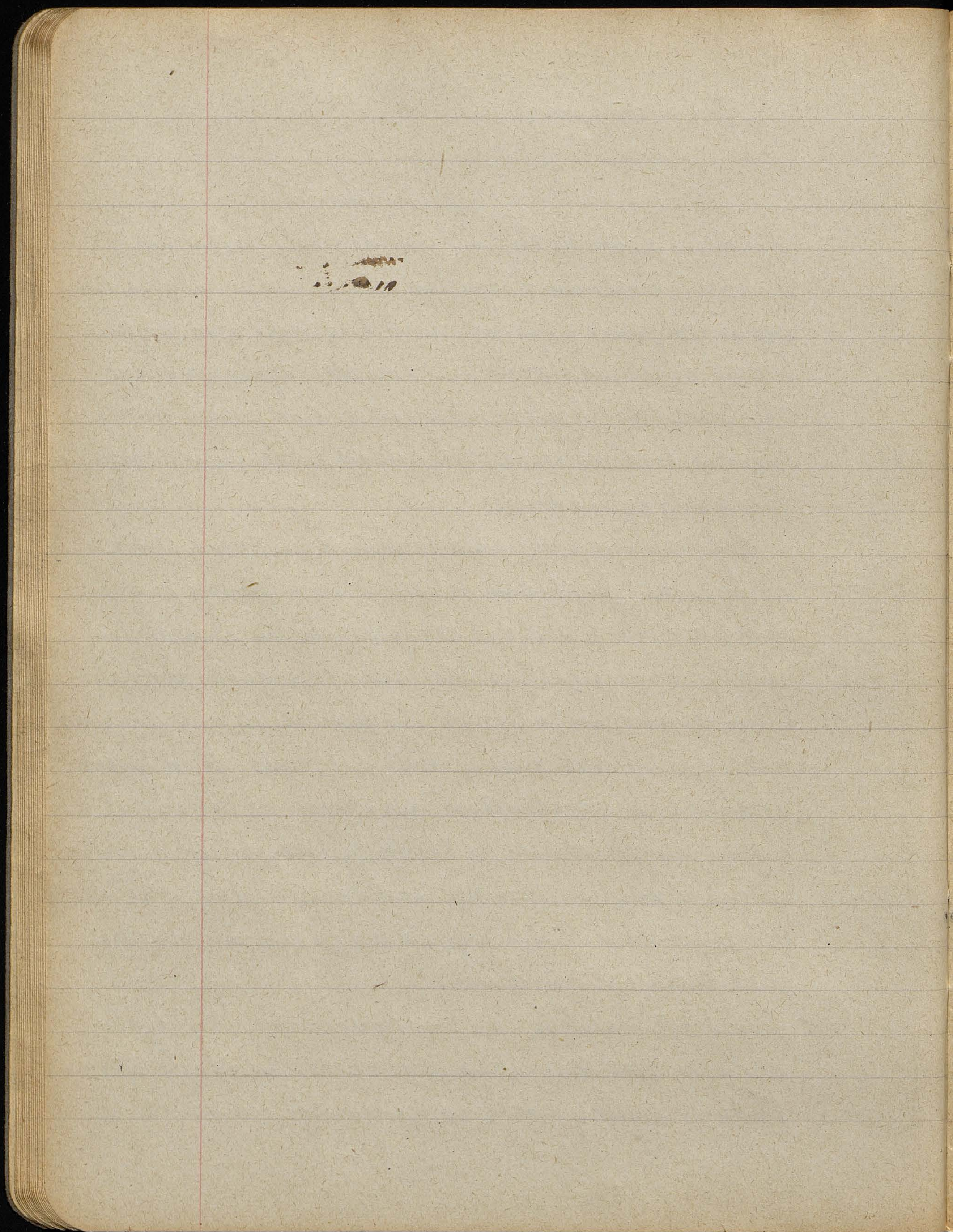
– Zamorski zum Gericht.

Pierwsze przesłuchanie.

Wyszedłem szybko za Kluczników do warty. Wywołano żołnierza z karabinem i bagnetem zatkniętym na karabin, dano mu do ręki papier i kazano mi iść trzy kroki przed nim. Brama więzienna otwarła się i znaleźliśmy się na ulicy. Zapytałem, dokąd iść, ale mnie zburczał, że mi z nim mówić nie wolno, bo on ma rozkaz natychmiast przekłuć mnie bagnetem. To nie będę pytał o drogę.

Ruszyłem więc z więzienia środkiem ulicy przed siebie. Na chodnikach przechodnie oglądali się na futrzanego pana w krymce, który idzie pod bagnetem, ale nie zauważyłem żadnego wrogiego nastroju. Zdziwienie i ciekawość przebijały z tonu rozmów prowadzonych. Na przecięciu się ulic stawałem, czekając aż żołnierz powie: „rechts" lub „links." W ten sposób środkiem ulic paradowałem przez Morawską Ostrawę. A chociaż nie poczuwałem się do niczego hańiebnego, musiałem walczyć ze wstydem, który mi kazał spuszczać oczy i tylko na złość samemu sobie rozpatrywałem się spokojnie między przechodniami, którzy stawali.

Sąd był niedaleko, więc prędko doszliśmy. W budynku szkolnym, zarekwirowanym przez wojsko, pełno było żołnierzy i ludności cywilnej. Biuro mojego sędziego znajdowało się

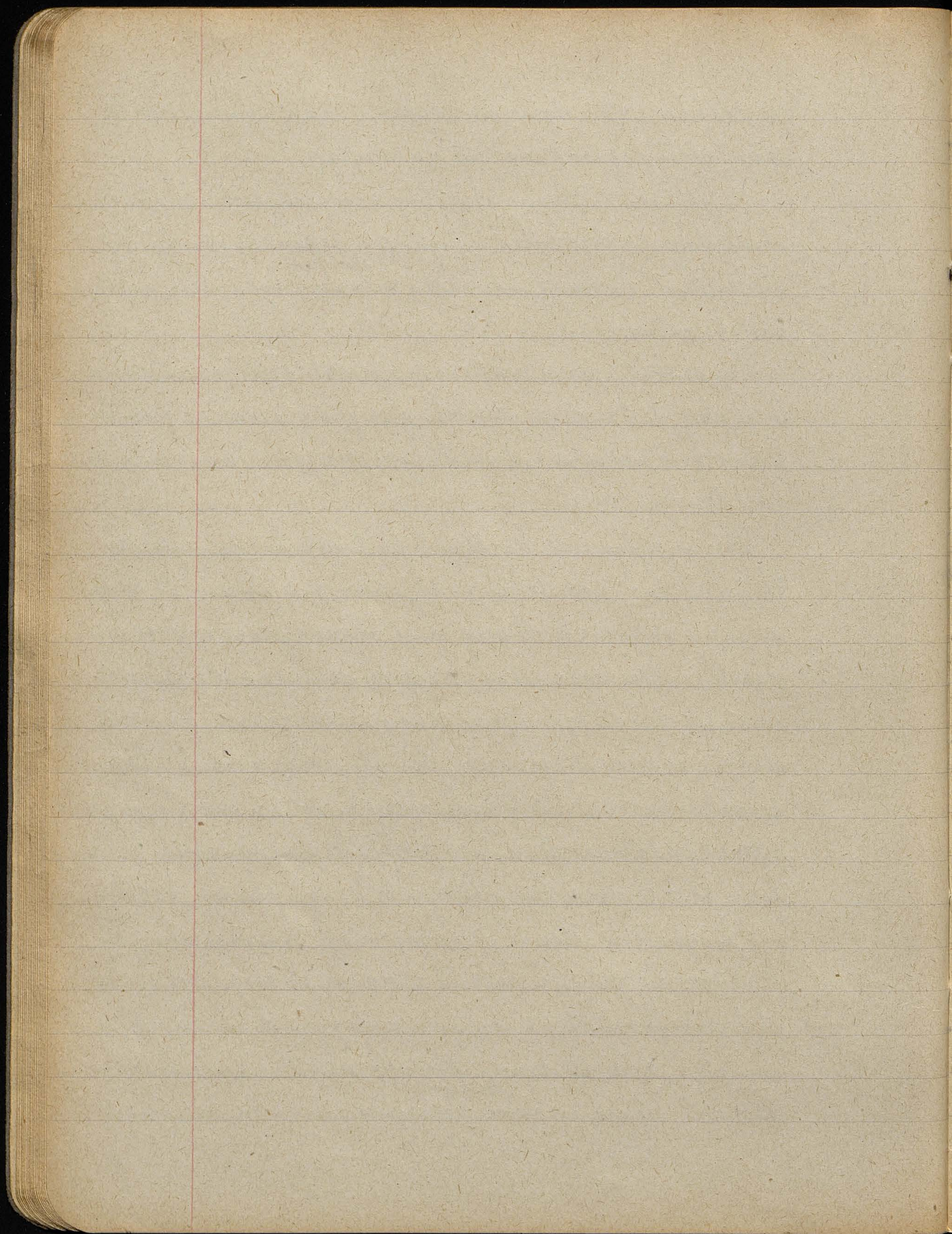


na drugiem piętrze. Żołnierz kazał mi wejść, sam wszedł za mną, oddał papier i wyszedł na korytarz.

W gabinecie historyi naturalnej siedziało dwóch wojskowych: oberleutnant z pąsowymi wyłogami i aspirant od artyleryi. Oberleutnant Dr. Knopf, adwokat z Drohobycza, był sędzią, aspirant protokolantem.

Dwudniowe siedzenie w kozie bez powietrza tak mnie osłabiło, że na ulicy dostawałem zawrotu głowy, a w biurze spłynąłem potem gwałtownym i doznałem mocnego osłabienia. Sędzia więc kazał mi usiąść.

Przy wypytywaniu o rodowód postawiłem i ja pytanie, kto mnie kazał aresztować i o co jestem obwiniony. Dr. Knopf odmówił odpowiedzi. Wypytywał mnie o pracę w stronnictwie, o gazety, które wydawałem, o legion wschodni. Nie mogłem odróżnić, które z tych pytań odnosi się do głównego zarzutu. Auditor przerzucał ogromny plik papierów, wreszcie zatrzymał się nad arkuszem, który widziałem w rękach aresztującego mnie żandarma. Poznałem protokół aresztowania podpisany przez wachmistrza. Ale była to druga strona papieru – a ja pragnąłem zobaczyć pierwszą. Szczęście mi posłużyło. Dr. Knopf wgłębił się w czytanie pierwszej strony, a ja również, choć na wywrot. Był to papier urzędowy z drukowaną winietą: „K. u. K. Armee-Ober-Kommando. X. Nachrichtendienst." Potem pisano: „Hochverrat. Verhaftung des allpolnischen

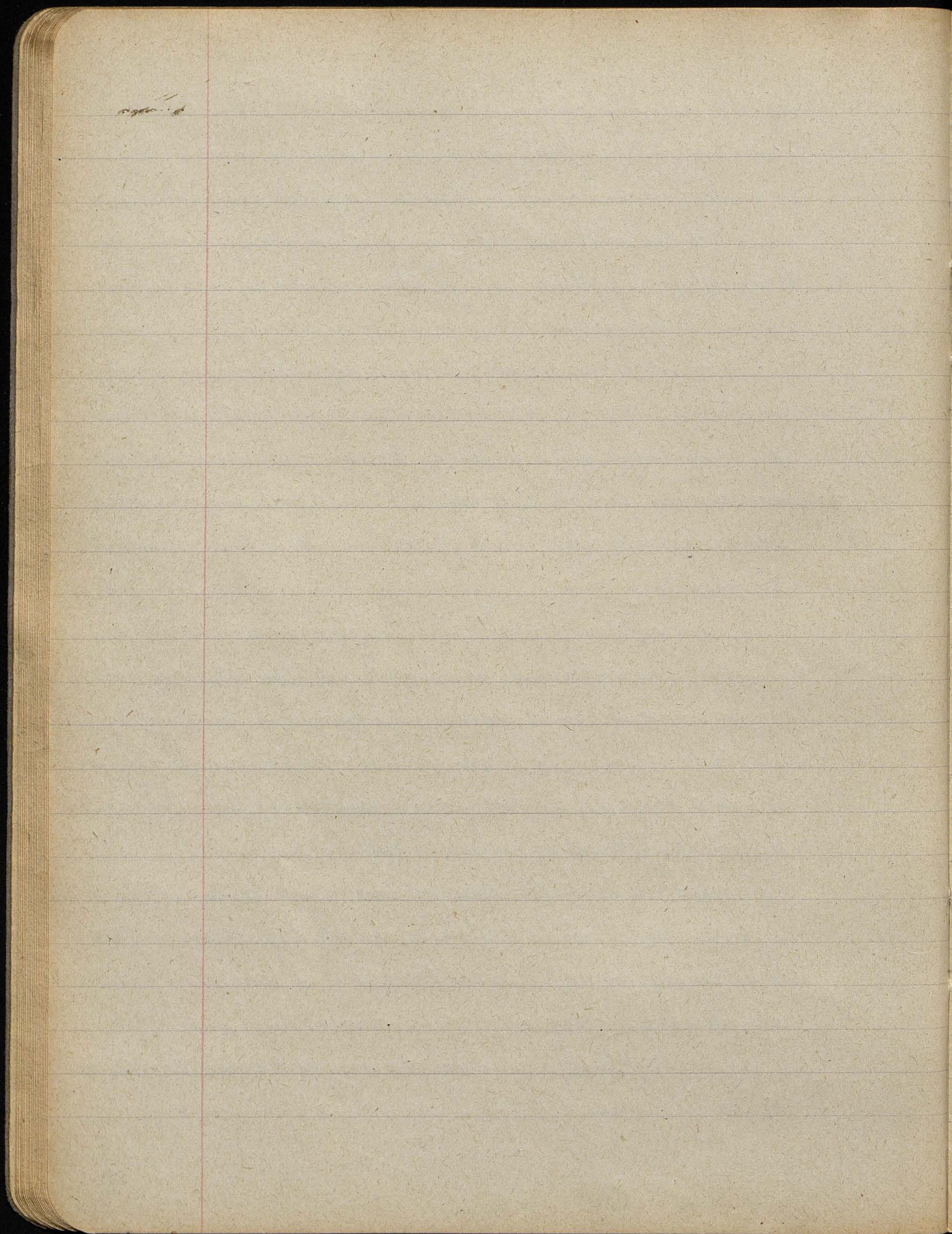


Agitatoren (nie: Agitators) Johann Zamorski." Uf! Odrazu mnie zdegradowali. Jeżeli już chcieli zapomnieć o moich poselstwach i o przewodniczeniu w stronnictwie, to mogli byli bodaj zostawić charakter dziennikarza, redaktora gazet, nieprzyjemnych rządowi. W tym tytule, czy obeldze: „agitator" odzwierciedla się cała pasya i wściekłość tych panów.

Całego tekstu pisma nie zdołałem wyczytać. Adres do namiestnika Galicyi Dr.a Korytowskiego, a potem tekst: „Ponieważ przy rozwiązaniu c. i k. polskiego legionu wschodniego pobudki ~~antimonarchiczne~~ antymonarchiczne działały" upraszam o zarządzenie aresztowania itd. Podpis: Zastępca szefa sztabu generalnego von Höfer, porucznik feldmarszałek.

To, co wyczytałem, wydało mi się wystarczającem. Zaszła jakaś pomyłka. Po aresztowaniu hr. Skarbka, w które wówczas wierzono, zapewne aresztuje się wszystkich jego przyjaciół, aby zobaczyć, czy nie było spisku. Co do mnie twórcy legionów postawili mnie w fizycznej niemożności pomagania lub szkodzenia tej formacyi. Rzecz się wyjaśni i będzie koniec.

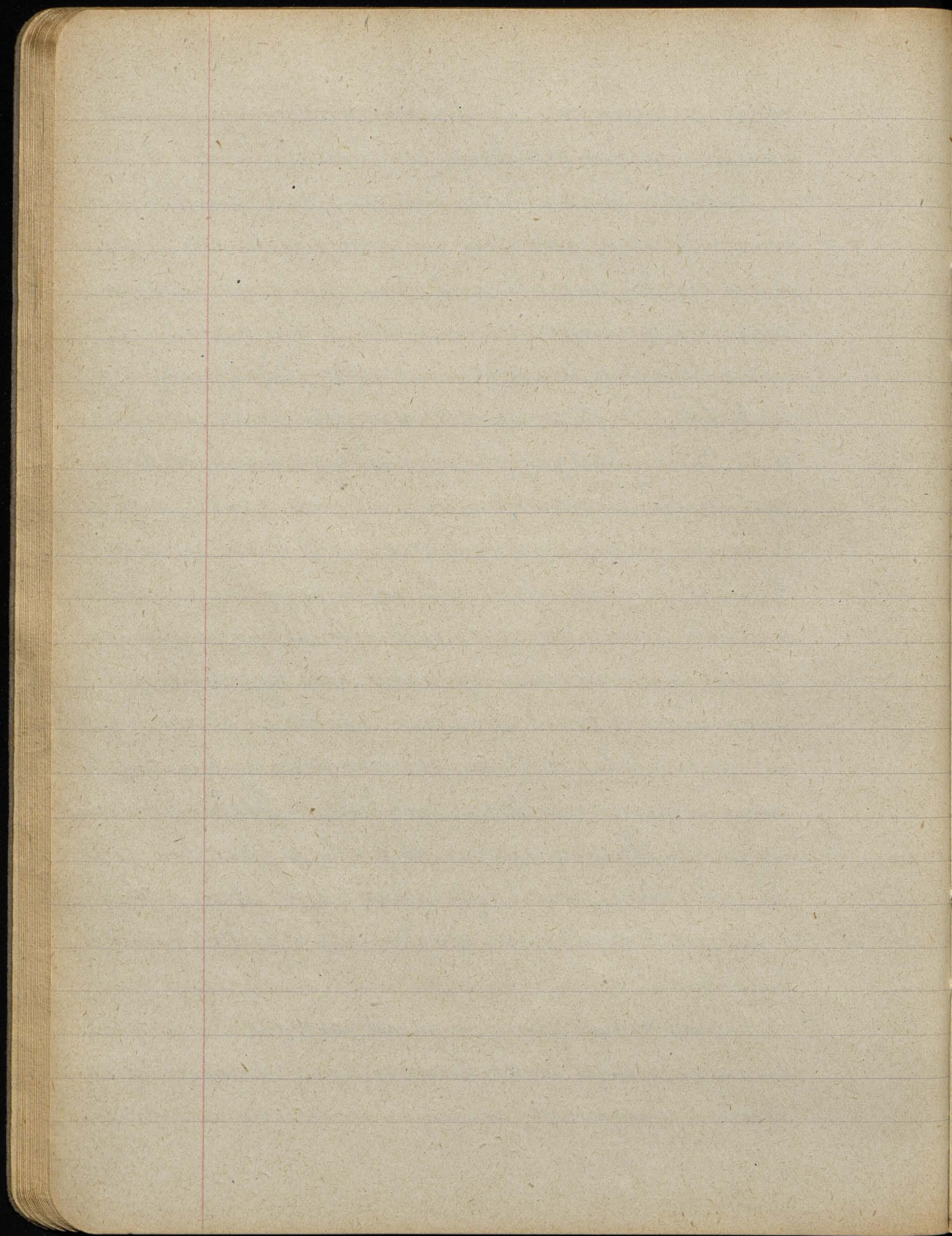
Zaczem na konkretniejsze pytanie o mój stosunek do legionów, podałem do protokołu, że nie dopuszczono mnie do Naczelnego Komitetu narodowego i za świadków podałem samych wrogów, czynnych w tym względzie: poseł Daszyński, Dr. Jaworski, którego przed niedawnym czasem zmusiłem do złożenia mandatu, p. Śliwiński, z którym miałem



rozprawę honorową, ~~skandalicznie dla mego zakończoną~~ i wreszcie wszyscy członkowie tego Komitetu.

Na dowód, że od uchwały legionowej do 19 ~~marca~~ września) mieszkałem w Krakowie, powołałem c.k. policyę Krakowską, a starostwo bialskie na dowód, że od 19 września aż do aresztowania mieszkałem nieprzerwanie w Białej. Obie te władze mają nadto stwierdzić, że ani razu nie brałem legitymacyi na jazdę koleją, czyli że nie mogłem wyjeżdżać do Lwowa, Sanoka, Jasła i Mszany, aby wpływać na legionistów, ~~do~~ bez legitymacyi bowiem nie można było wejść na ~~dwor~~ dworzec, ani w miejscu przybycia wyjść z dworca, ani też kupić biletu jazdy. Ponieważ wiadomo było, że automobile prywatne zarekwirowano dla wojska, więc jazda automobilem była niemożliwa. Zatem możliwość osobistego podburzania legionistów ~~jest~~ będzie usunięta ponad wątpliwość – a że także i pismami nie mogłem ludzi rozjątrzać, powołałem się na oficerów, ~~pełni~~ wykonywujących cenzurę listów w Krakowie i w Białej na poczcie, którzy by zapewne na ~~p~~ listy podobnej treści byli zwrócili uwagę. Oddalony o kilkaset kilometrów w jakiż inny jeszcze sposób mogłem wpływać na postanowienia legionistów?

Byłem prawie pewny, że zaszła pomyłka, i że po sprawdzeniu powyższych świadectw odzyskam wolność. Wdałem się nawet w pogawędkę ze sędzią i wyraziłem zdziwienie,



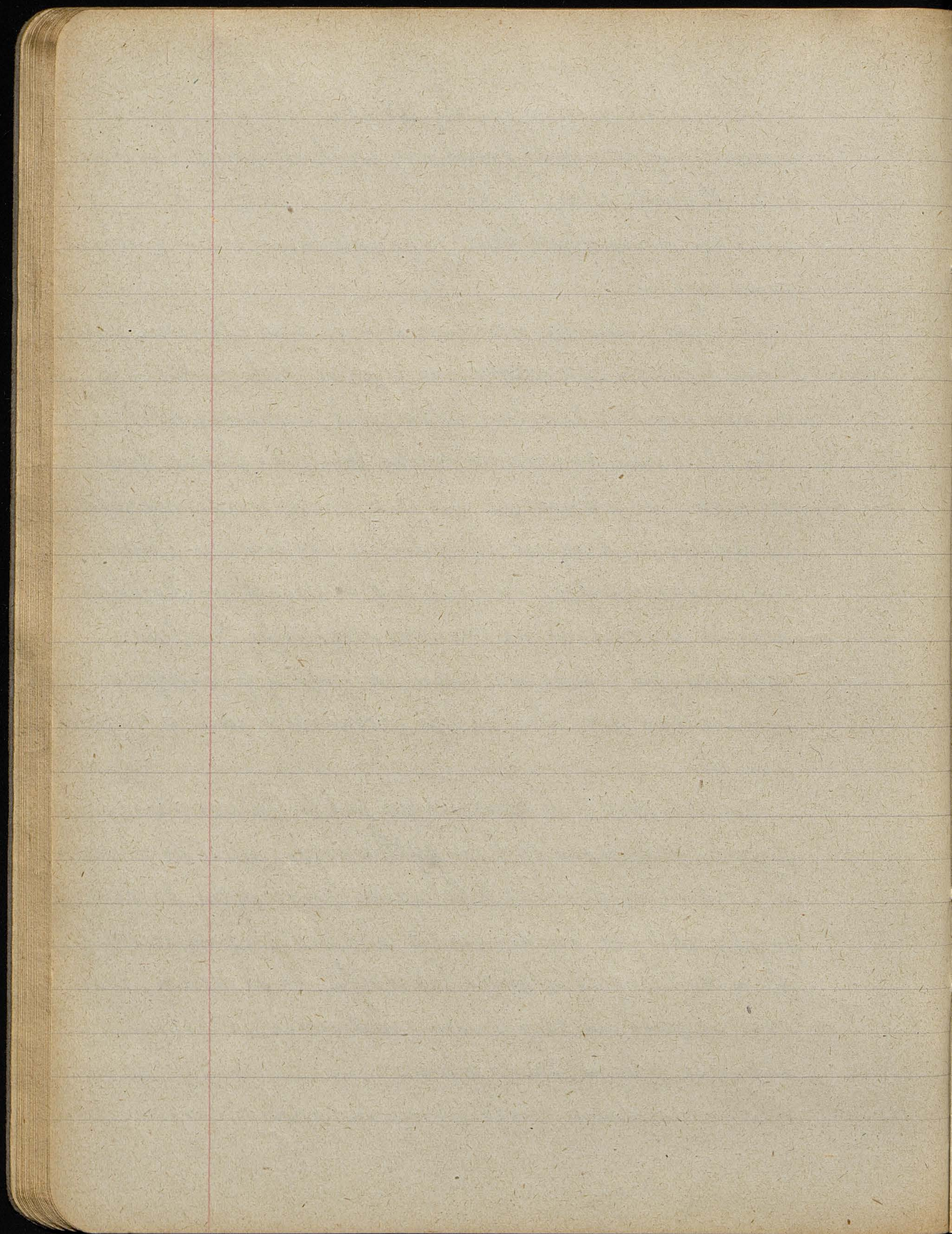
że namiestnik, znający sprawę dokładnie, nie zrobił przedstawienia do Komendy armii, aby uniknąć przykrego skandalu. Dr. Knopf wtrącił tylko:

– To nie namiestnik kazał pana aresztować, to ktoś nieskończenie wyższy.

Późnym wieczorem wróciłem do więzienia z tą samą paradą. W celi sienniki były rozrzucone, a jeden zajęty. Patrzę, a to nie mój żołnierz tam leży, tylko jakiś szykowny młodzieniec i to cywil, bo ubranie czarne leżało na stołku. Ponieważ nowy mój towarzysz nie spał jeszcze, zaczęliśmy gadać po niemiecku. Nazywał się Ladislav Pospišil, urzędnik rachunkowy na stacyi kolejowej w Prościejowie, na Morawach. Zaraz też przeszliśmy na rozmowę słowiańską. Dyalekt chanacki jest prawie pośrednim między polszczyzną i czeszczyzną, więc łatwo się było porozumieć ~~co do~~ w ojczystych językach.

Pospišil dostał się do więzienia pod zarzutem zdrady głównej i zakłócenia spokoju publicznego, a miał popełnić te zbrodnie w rozmowie z kolegami biurowymi, bo mówił, że ~~jako~~ gdyby był żołnierzem, to jako cierpiący na reumatyzm nie ~~je~~ rzucałby się w kałużę lub w błoto, na komendę „Nieder", oraz, że serce nie pozwalałoby mu strzelać do Rosyan, którzy są braćmi Słowianami.

Na drugi dzień rozgadaliśmy się na dobre. Pospišil



obgryzając paznogcie opowiadał, że denuncyacya pochodzi od Polaka uchodźcy, który chciał go usunąć, aby dostać jego miejsce. Mimo, że inni jego koledzy są zaciekłymi Niemcami, nie podejrzywa żadnego o taką nikczemność.

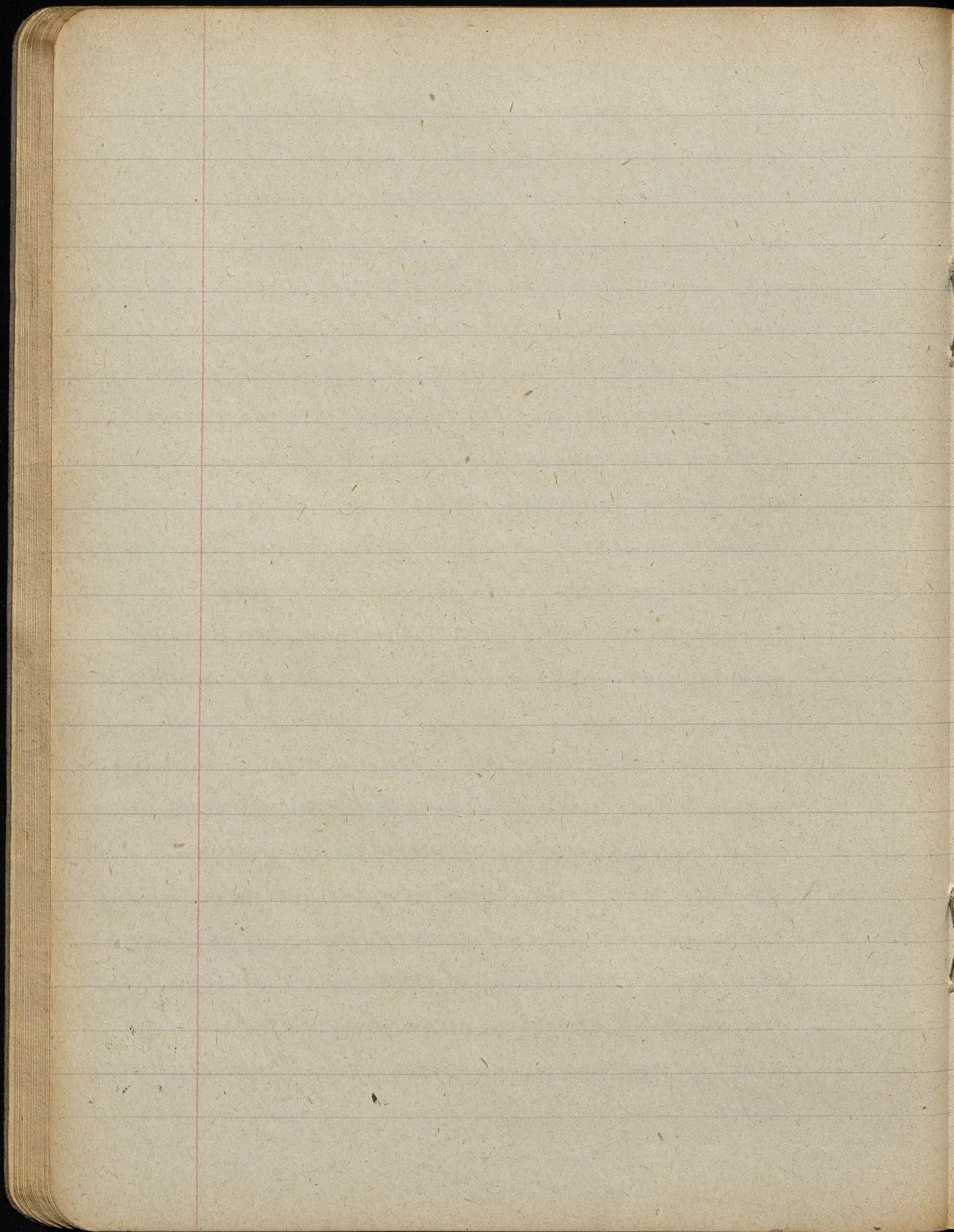
Przykro mi się zrobiło, gdym słyszał takie zarzuty przeciw Polakowi. Wypytałem więc o dalsze szczegóły. Ów uchodźca pochodził z Czortkowa i nazywał się Piotr Nakonieczny. Znałem trochę Polaków czortkowskich, ale nie spotkałem się z takiem nazwiskiem. Do tego imię Piotr, nieużywane przez Polaków podolskich, obudziło we mnie wątpliwości. Postawiłem więc twierdzenie, że to nie Polak, lecz Rusin.

– To i to wszystko jedno – powiedział Pospiszil.

Długo musiałem tłumaczyć chłopcu różnicę, ale się go tygodniami nie chwytała. Ilekroć się rozgadał, zawsze mu się wyrywało:

– I taki łajdak Polak mnie zadenuncyował." A mnie znowu to podkreślanie polskości denuncyanta bodło, więc regularnie prostowałem młodzieńca, co przez długi czas ściekało po nim, jak deszcz po szybie – bez skutku.

Dowiedziałem się też, że mój towarzysz niedawno ożenił się w Prościejowie z Niemką, młodą wdową, mającą (w mieście) jedyny skład konfekcyi damskiej. I biedaczysko, ile razy spojrzał na przyniesiony z sobą kocyk wełniany, powiadał:



– Na tym kocyku całowaliśmy się – i zaraz płakał.

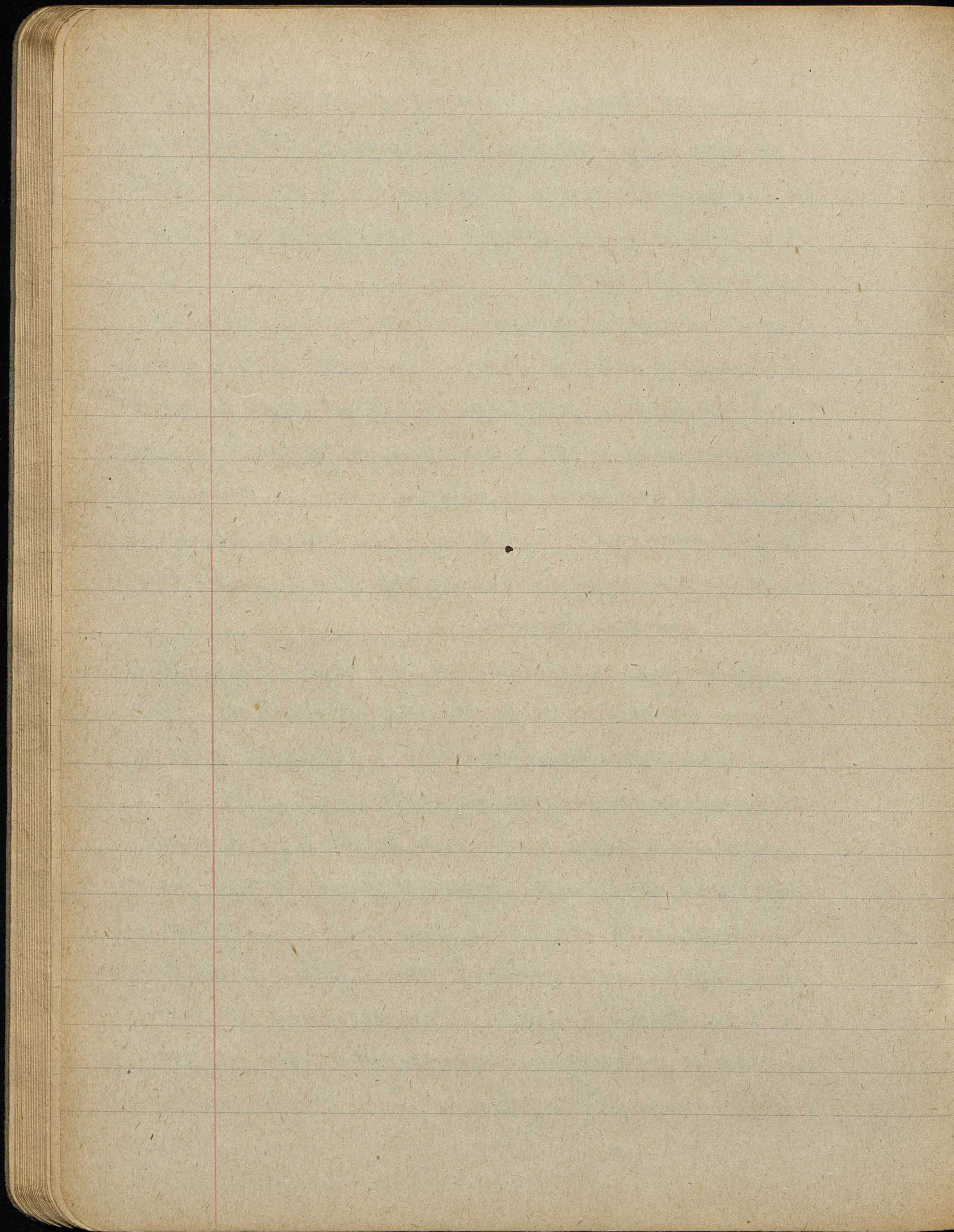
Wielki to był nudziarz ten Pospišil. Gadał cały dzień, a zawsze o oskarżeniu swojem i o Nakoniecznym. Codziennie rano po kawie zaczynał, jakgdybyśmy się dopiero ujrzeli po raz pierwszy:

– Jak pan sądzi? Przecież nie powinni mnie skazać?

I od razu rozpoczynał opowieść na nowo. Taki towarzysz celi jest bardziej utrapiony niż rozpaczliwa samotność. Oderwać się od niego nie można; pogniewać się, aby go zmusić do milczenia, nie uchodzi: trzeba się poddawać powtarzaniu tych samych słów, co były wczoraj, przedwczoraj, przed tygodniem. Był to osobny rodzaj męki i żałowałem dawnej ~~mojej~~ samotności.

Ale ta jego gadatliwość miała i dobre strony. Gadał z kluczników, nie dając mu drzwi przymknąć. Gadał z przechodzącymi współwięźniami, gdy tylko drzwi były odchylone. I dowiadywał się wiele.

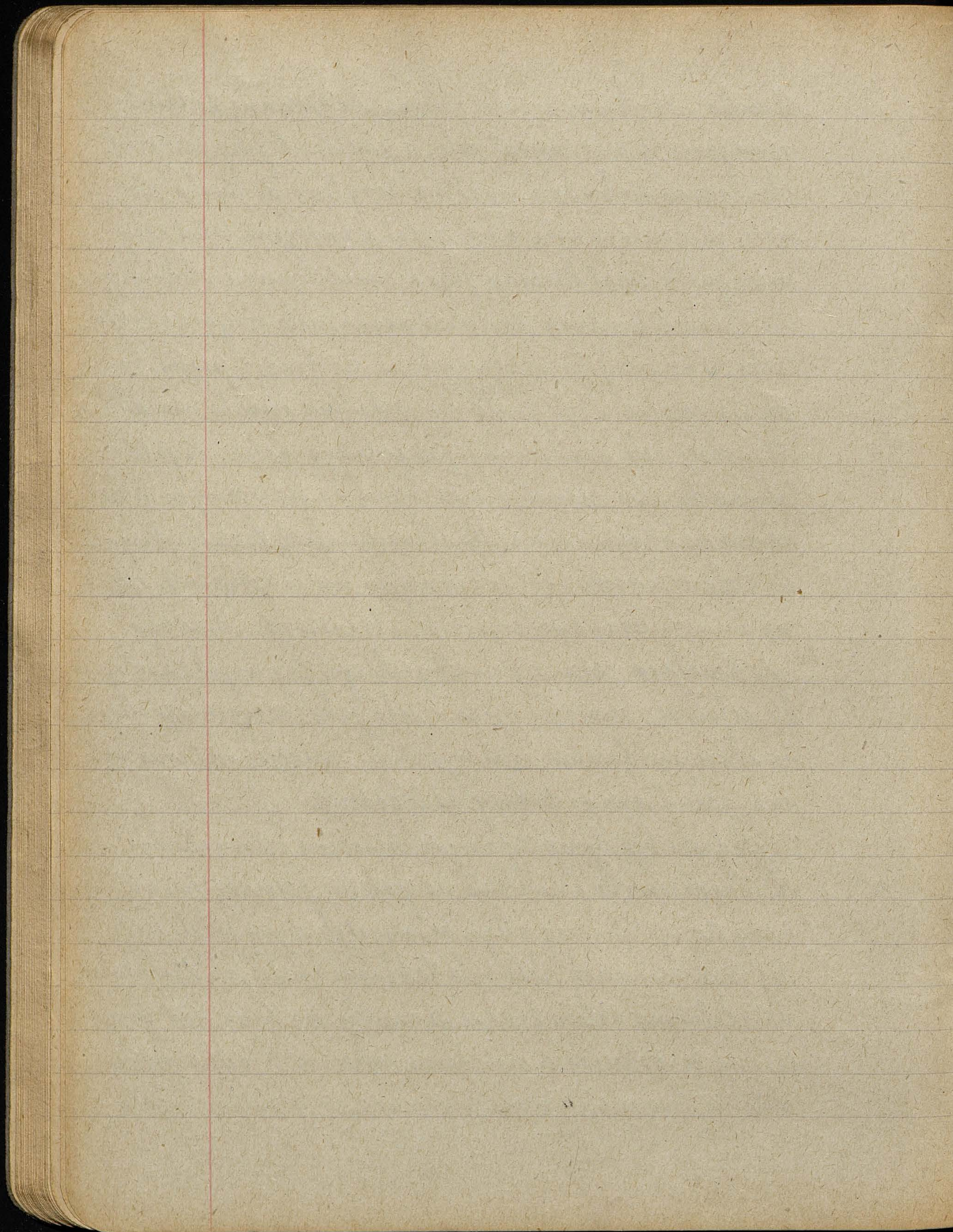
A właśnie drzwi otwierały się często. Była to epoka szczepień ochronnych przeciw ospie, cholerze, tyfusowi. Ponieważ niektóre z nich powtarzano, więc grudzień spływał nam rano na korytarzu II piętra przed drzwiami lekarza. Pospišil z każdej takiej wyprawy przynosił mnóstwo ciekawości. Wnet zacząłem znać ten ruchliwy świat więzienny. Sam patrzyłem i słuchałem, alem nie mówił.



U siebie wprowadziliśmy życie regularne. Na zmianę codzień rano jeden z nas czyścił celę, a ponieważ przy rannem otwieraniu wolno było wyjść na korytarz do kurka po wodę, ja nosiłem wodę, a on gadał z innymi. Wnet cały nasz parter znał historyę jego z nieodstępnym Nakonieczným.

Dnia 9. grudnia przyszedł pomocnik profosa z rozkazem, że mamy przeprowadzić się na drugie piętro, bo nasza cela ma być ~~pusta~~ zostawiona na ostatnie chwile skazańców. W nowej celi zastaliśmy już jednego gościa. Był to elegancki pan, nawet w lakierkach i z podróżnym neceserem na okryciu pieca, ~~dla staranniejszej toalety~~. Nazywał się Stefan Ligocki i był właścicielem wsi w Królestwie, ale na granicy Krakowskiego, obok Krzeszowic. U niego była kwatera jenerała austryackiego. Gdy wojska austryackie cofały się, uwiozły i jego z sobą jako rosyjskiego oficera rezerwowego. Zanim mu wyznaczą miejsce internowania, zasadzono go do kozy od tygodnia.

Ligocki był sympatycznym, wesołym człowiekiem. Miał sędziowskie pozwolenie na palenie papierosów, więc i my korzystaliśmy z tego, bo wszystek dym w celi szedł na jego rachunek. Cela była taksamo mała jak dawniejsza. Składaliśmy zatem brudne sienniki na kupę pod węższą ścianą pod oknem, a na reszcie miejsca kręciliśmy się w kółko, trzymając krok. Gdy nam się głowy zakręciły,



zmienialiśmy kierunek tego menażeryjnego spaceru. Ligocki tańczył czasem, pogwizdywał, lub śpiewał:

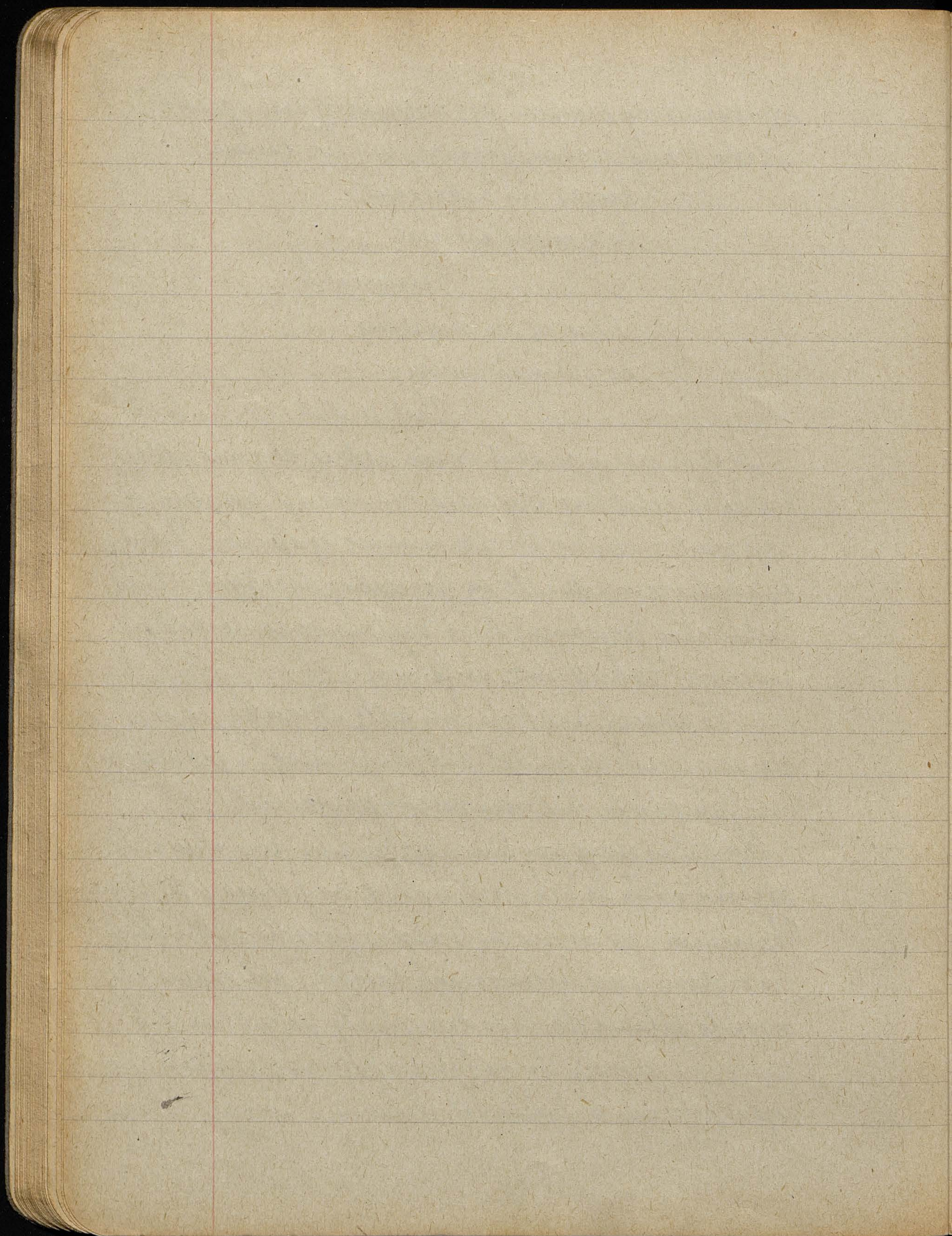
Ksiądz mi zakazował,
Żebym nie całował
Dziewczątek;
Klnę się na mą duszę,
Że całować muszę,
Choć piątek.

W tym czasie wezwał mnie sędzia, aby mi oddać kartkę od redaktora Rymara i oświadczył przy tem, że zarządził zmianę procedury w mojej sprawie. Dotąd było dochodzenie wedle ~~są~~ procedury doraźnej (standrechtliches Verfahren) teraz zastosowano dochodzenie badawcze (Ermittlungsverfahren).

– To znaczy, że zdjęto mi pętlę stryczka ze szyi, ale pozostawiono nadal pod szubienicą? – zapytałem.

– Jak pan to chce rozumieć – powiedział.

Zapytał się mnie przy tem, czy życzę sobie pozwolenia na poprawę wiktu za własne pieniądze, na palenie itd. Owszem. Poprosiłem o pozwolenie na te ulgi, a ponadto o pozwolenie na czytanie gazet, sprowadzanie książek, posiadanie przyborów do pisania itd. Co do dalszych ulg polecił mi dać prośbę na piśmie, ale na tytoń i poprawę jedzenia wydał polecenie natychmiast. Naturalnie wręczył je nie

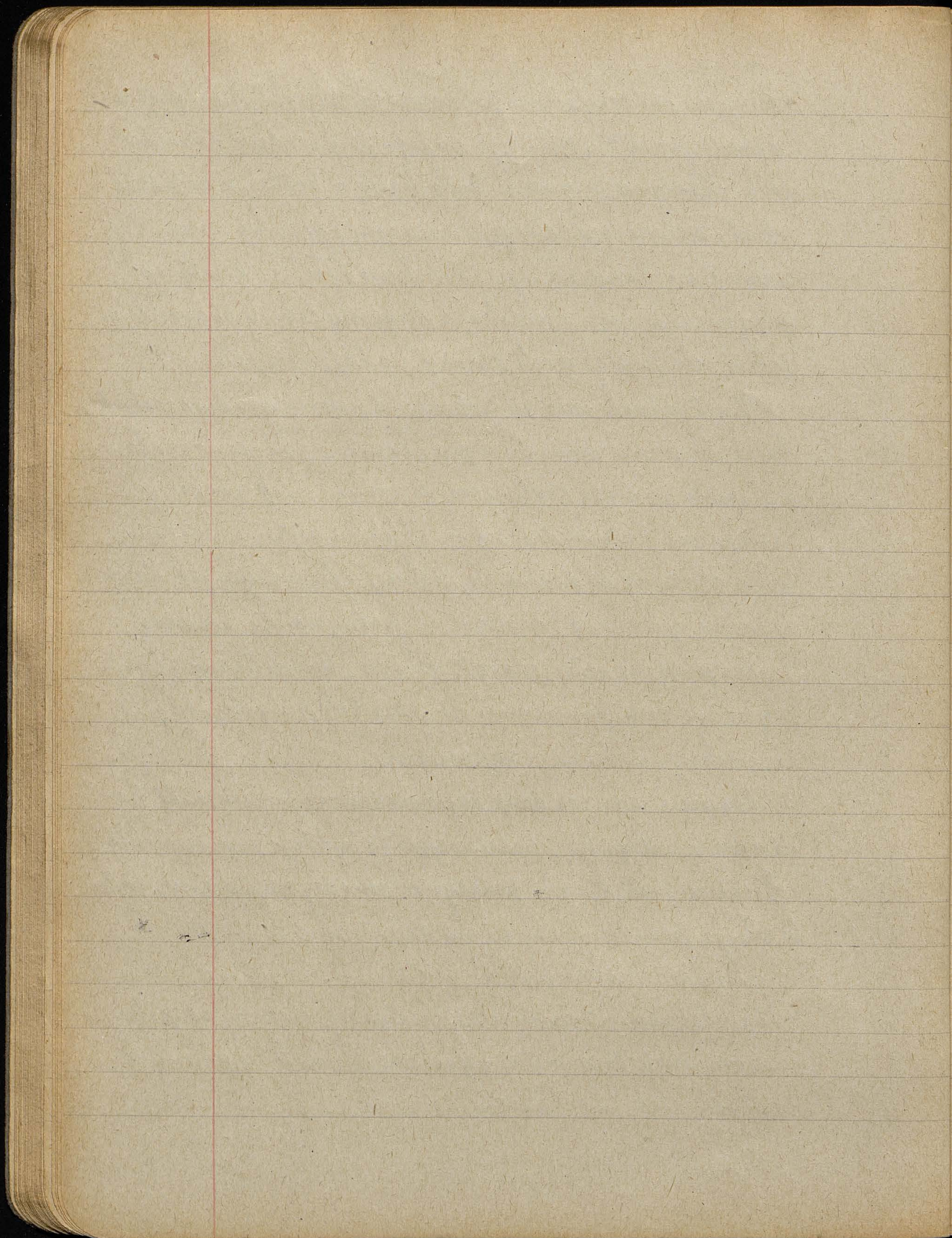


mnie, lecz eskortującemu żołnierzowi. Ligocki miał poprawę wiktu od początku. Odtąd i ja za jego przykładem kazałem sobie z kantyny przynosić białą kawę z bułką, w południe obiad i wieczorem kolację, a czasami i piwo lub wino. Najważniejszą korzyścią tego pozwolenia było, że z kantyny przynoszono noże i widelce, a myśmy tak się zakręcili, że jeden nóż został w celi i służył do krajania chleba.

Wnet jednak wikt się popsuł. Od połowy grudnia zabrakło bułek, bo władze zakazały wypiekania białego pieczywa, a mięso drożało i stawało się coraz podlejszem. Wkrótce i chleb zbożowy zastąpiono kukurydzianym. Chleb ten pękał, że czasami tylko okruchy się dostawało, schnął i twardniał jak kamień do kilku godzin, a równocześnie pokrywał się pleśnią bardzo grubą na całej odkrytej ośródce. Wnosiliśmy z tego, że wojna nie może przeciągnąć się poza rok przyszły, bo głód powszechny zmusi do jej zaprzestania.

Nareszcie jednego dnia zapowiedziano przechadzkę na dziedzińcu. Ligocki, spodziewający się rychłego wypuszczenia i Pospiszil, wstydzący się pokazywać między więźniami, zostali w celi. Ja poszedłem, aby się nie dać strawić wyczerpaniu sił, które mi mocno groziło.

Dziedziniec był niewielki, podłużny, otoczony od pola murem, może trzy metry wysokim. Mimo to w pewnych odstępach stali pod murem żołnierze z karabinami,

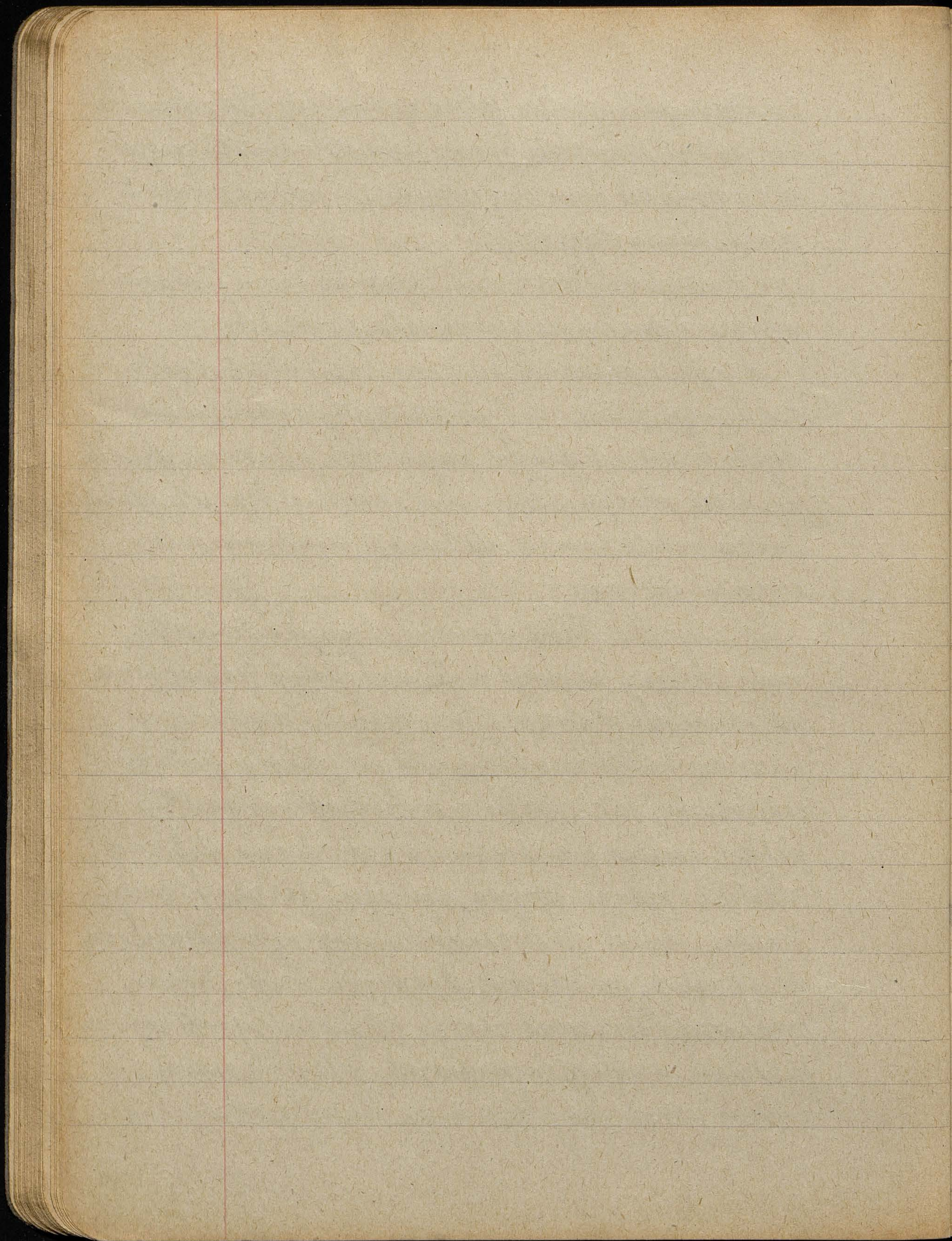


z nałożonym bagnetem, jakoby w obawie, żeby ktoś znienacka nie przeskoczył zapory. Tłum więźniów około dwustu wysypał się gromadą, ale klucznicy cugsfirerzy zaczęli wrzaskiem to porządkować, wołając:

– Zu zweien! Dwa a dwa. Czeski ~~ten~~ sposób tłumaczenia uchodzi w Austryi za uniwersalno słowiański.

W tłumie przeważali żołnierze. Odarte i brudne postaci dawały wyobrażenie, że w Austryi wszystko się rwie, skoro wojsko nawet mundurów przyzwoitych nie posiada. Niewielu było ludzi młodych między nimi – przeważał typ po trzydziestce, a w tym brudzie i umęczeniu ludzie ci czynili wrażenie znacznie starszych.

Byli i cywilni. Kilku starannie ubranych inteligentów, reszta robotnicy lub chłopi w strojach ludowych. Jednem słowem pstrocizna, ale od strony dolnej, biednej. Prawie wszyscy przełożeni też byli obecni. Przez okno wyjrzał gruby rotmistrz von Kościcki; sztabsprofos z wypomadowanymi wąsami patrzył groźnie przez drugie – a pod murem stali dwaj feldweble: zastępca profosa „Oberjäger" Čížek i feldwebel Brunner. Čížek był eleganckim, poważnym człowiekiem, chudy, z jasnymi wąsami, starannie ubrany i zawsze poprawny. Brunner okrągły jak faska trzymał wiecznie papierosa w wydętych wargach, patrzył źle zawsze wytrzeszczonemi oczyma, a końce obojczyka żołnierskiego



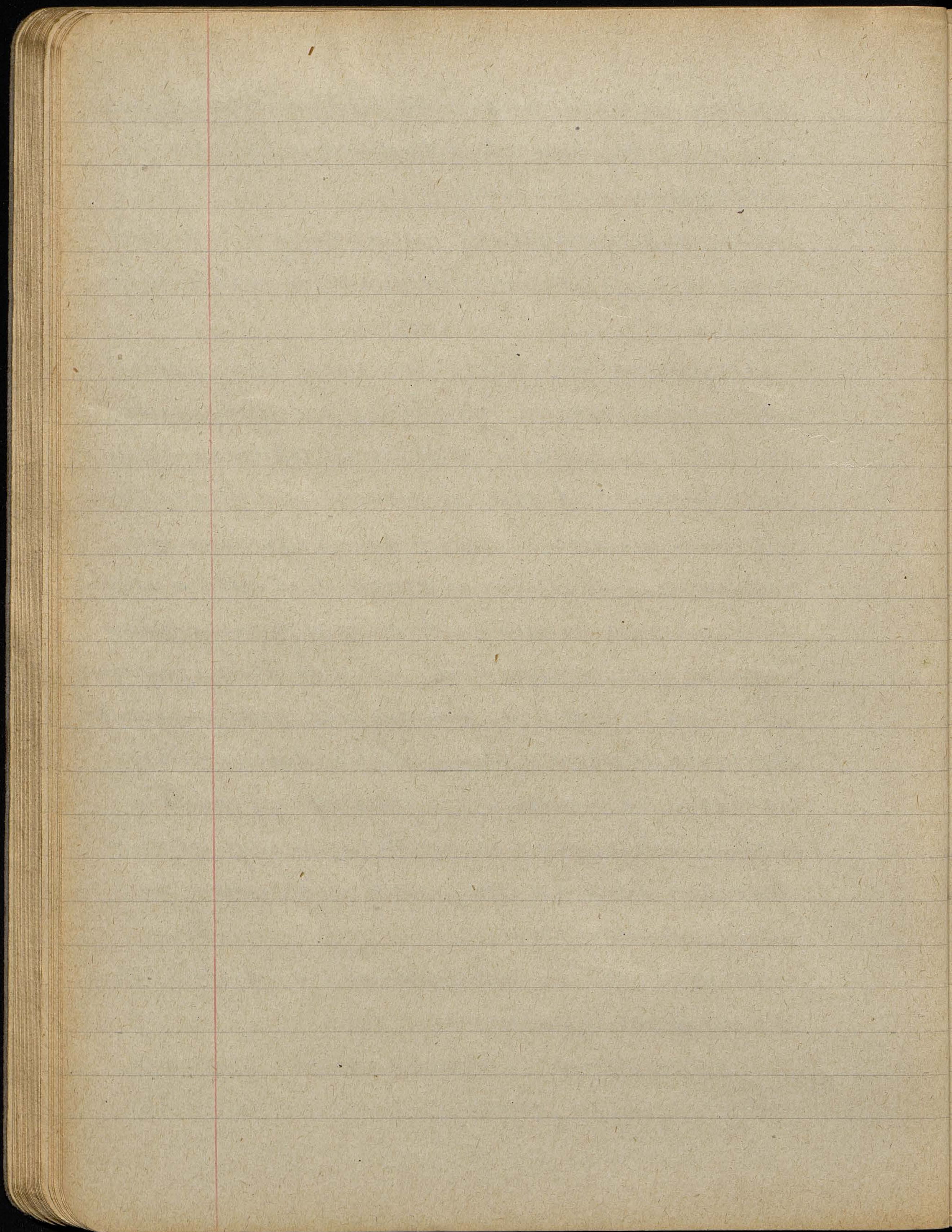
wyłaziły mu zza kołnierza na zbyt krótkim karku i opierały się aż na potylicy. Zanim dowiedzieliśmy się jego nazwiska, nazywaliśmy go „Kołnierzarz."

Kiedy się pary uszykowały, ruszyliśmy w kółko po błocie odtajałem, a ja z ciekawością śledziłem jak wygląda miejsce tracenia.

Za rogiem więzienia mur otaczał placyk prawie kwadratowy 5 do 6 metrów szerokości. Jeden kąt był oddzielony dwiema deskami, a powstały w ten sposób trójkąt zapełniony był ziemią. Ponad deskami na wysokość może dwóch metrów nałożone były warstwami worki z piaskiem, których zgniecione dna przedstawiały się jak sprasowane pierożki. Przed deskami w środku stał słupek może na metr wysoki, otoczony płytkim dołkiem. Stawiało się skazańca w tym dołku, plecami do słupka i przywiązywało się ręce z tyłu do niego.– ~~obniżony w ten sposób przez wklęsłość~~" Naprzeciwko ustawiano w szeregu czterech żołnierzy, ~~z który~~ na odległość tak nieznaczną, że końce luf były oddalone zaledwie metr od celu i kazano dwom mierzyć w czoło tuż nad oczami, a dwom w serce, a raczej dołek sercowy, bo piersi skazańcowi obnażano.

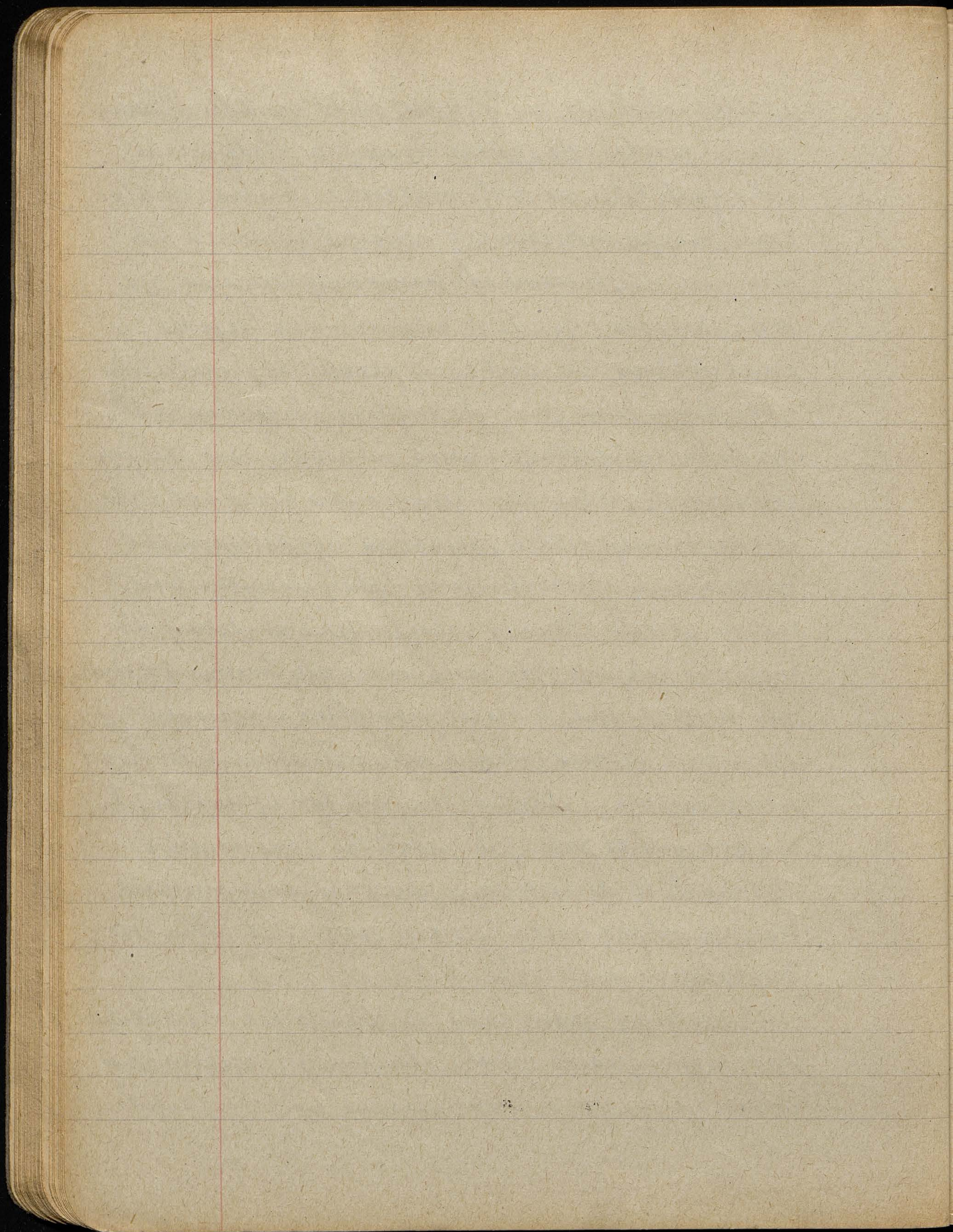
Ten widok zrobił na mnie wrażenie nie tragedyi i zgrozy, lecz ohydy nie do zniesienia.

Samo urządzenie było nikczemnie podłe. Deski nieheblowane, zdjęte z jakiegoś rusztowania i słupek tego



samego pochodzenia, nosiły jeszcze ślady gwoździ i klamer, jakiemi niegdyś były spajane dla użytku. Ślady wapna wskazywały także na roboty murarskie. Brudne sknerstwo kazało zakupić wybrakowany materyał, lekceważąc ~~tak~~ człowieczeństwo, ~~że nawet odbieranie życia drugiemu~~ Toż tu dla skazańca odbywała się najokropniejsza tragedya – a zarząd wojskowy nie raczył o niej pamiętać, bo pamiętał tylko o oszczędzeniu kilku groszy. Nie myślano o budowaniu rusztowania dla każdej egzekucyi z osobna, nie pokazywano przez przygotowania, że władza, przywłaszczająca sobie prawa nadludzkie, odczuwa i uznaje nadzwyczajność ~~zg~~ tego zarządzenia i ogrom własnej odpowiedzialności. Żadnej ceremonialności, żadnego aparatu. Sklecono naprędce takie urządzenie dla masowego zabijania. Gdy porównać miejsce tracenia z rzeźniami nowożytnemi, ta bezceremonialność w masowem odbieraniu żywotów ludzkich wzbudzała obrzydzenie. Przecież wyrok wydawali, a potem wykonywali ludzie, na człowieku, nie gorszym od nich – jak mogli tak zapomnieć o dostojeństwie człowieczem, że przy urządzaniu miejsca tracenia jedyną troską była chęć oszczędzenia kilku koron przy zakupnie materyału.

O ileż więcej godne ludzi były uczucia w wiekach średnich. Wtedy wykonywanie wyroku otaczano przepychem i ceremonią: pozbywano się niepożądanego osobnika ze społe-

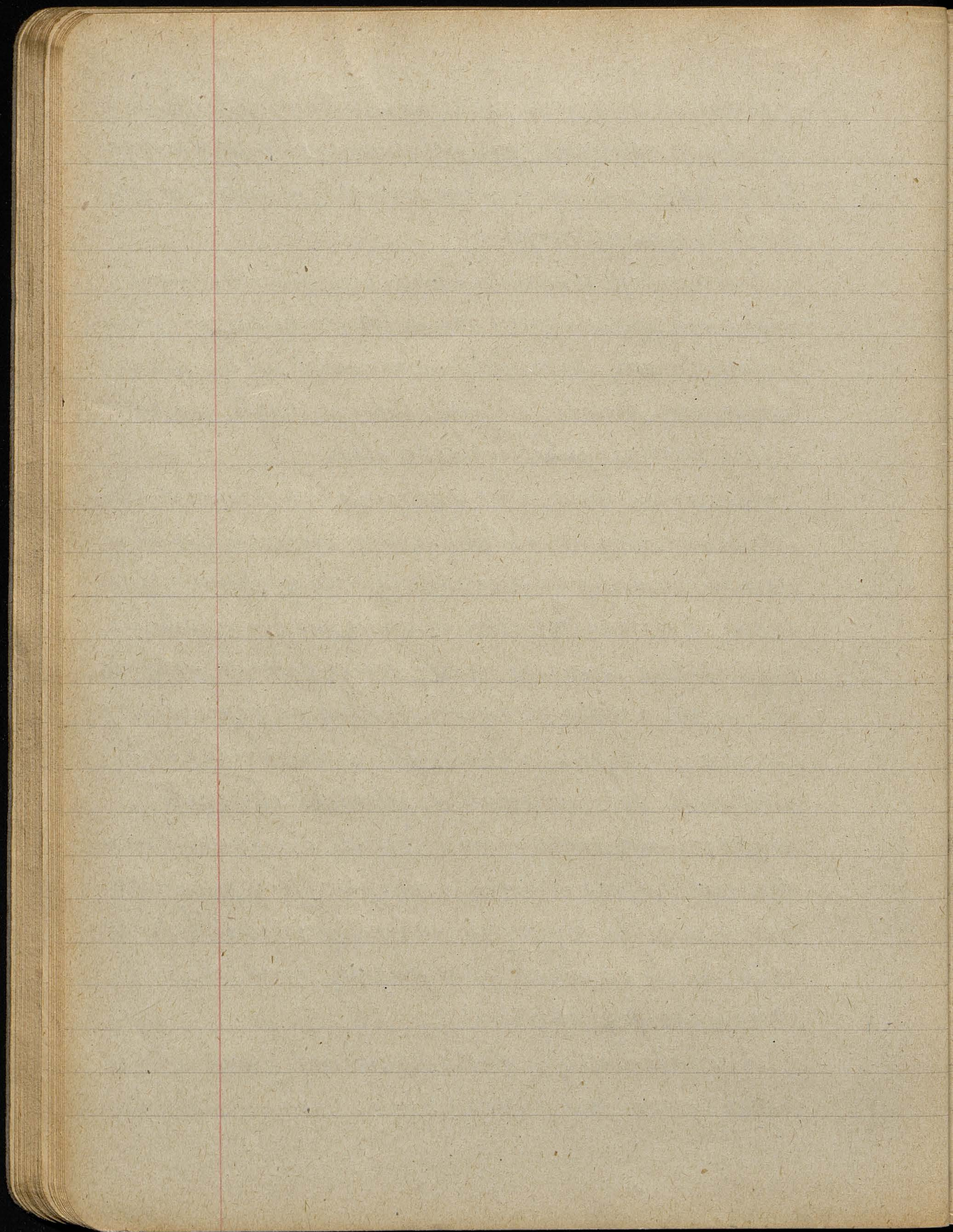


czeństwa, ale mu pokazywano, że się w nim czci człowieczeństwo, że odbieranie życia jest wdzieraniem się w prerogatywy Stwórcy i że jest czynem niezwykłym, budzącym grozę, wstrząsającym, wyjątkowym.

Dziś morduje się człowieka w kącie, przy nieheblowanym słupku, byle prędzej. Ukręca mu się łeb jak kotowi, na ustroniu i uprząta się, ~~aby~~ zaraz, żeby nie zawadzał. Jest to najbardziej uproszczony proceder gładzenia ludzi ze świata, jak się gładzi robactwo: ~~cicho~~ tanio, szybko, i bez śladu.

Nie mogłem wczuć się we zbydlęcenie tych oprawców, którzy skazańcowi wiążą ręce, zasłaniają oczy, otwierają koszulę na piersiach, by dostęp do serca odsłonić. Gdy grubemi rękami dotkną się ciała żywego, które za chwilę ma być zgruchotane, gdy zakładając przepaskę na oczy, brodzą palcami we włosach, tak jak potem w domu rozgarniają włosy na główce własnego dziecka – czy zgroza nie zatrzęsie nimi? Średnie wieki miały kata do takich poruczeń, człowieka otoczonego przekleństwem powszechnem i legendą okropności. Dziś ten obowiązek spełnia feldwebel Brunner, który potem zapija piwo, a za kilka dni pójdzie na front, prowadząc ludzi do walki, niby to na chwałę – kat plugawy na rozkaz, jutro obrońca ojczyzny na rozkaz.

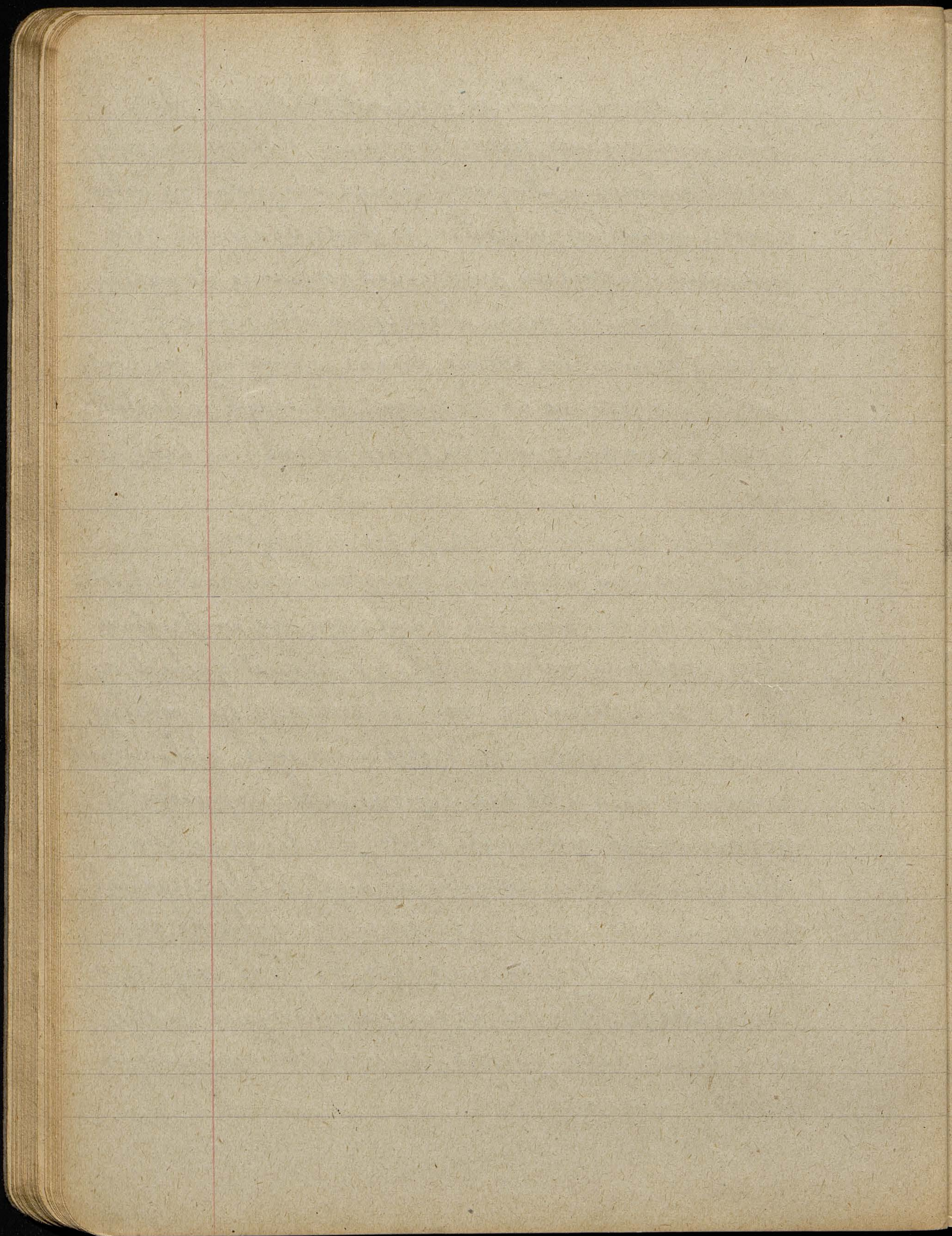
A co sobie myślą ci starzy pospolitacy, ojcowie rodzin, gdy wymierzyli lufy w serce i w czoło nieznanego człowieka,



i czekają komendy. To natężanie uwagi i oka, aby nie chybić serca czy czoła, przecież to obowiązek oburzający, niegodny człowieka. Znając nastrojowość naszego ludu zwłaszcza wobec śmierci gwałtownej, uważałem za oburzającą zbrodnię rządu zmuszanie ojców rodzin przez karność żołnierską do wykonywania katowskiego urzędu. Niestety! w kilka miesięcy później zmieniłem zdanie. Widziałem bowiem raz, kiedy z plutonu wybierano owych ośmiu, potrzebnych do strzelania, że poza wyznaczonymi przez oficera zgłaszali się inni, wołając:

– Panie lejtont, mnie weźmą, ja już strzylałem.

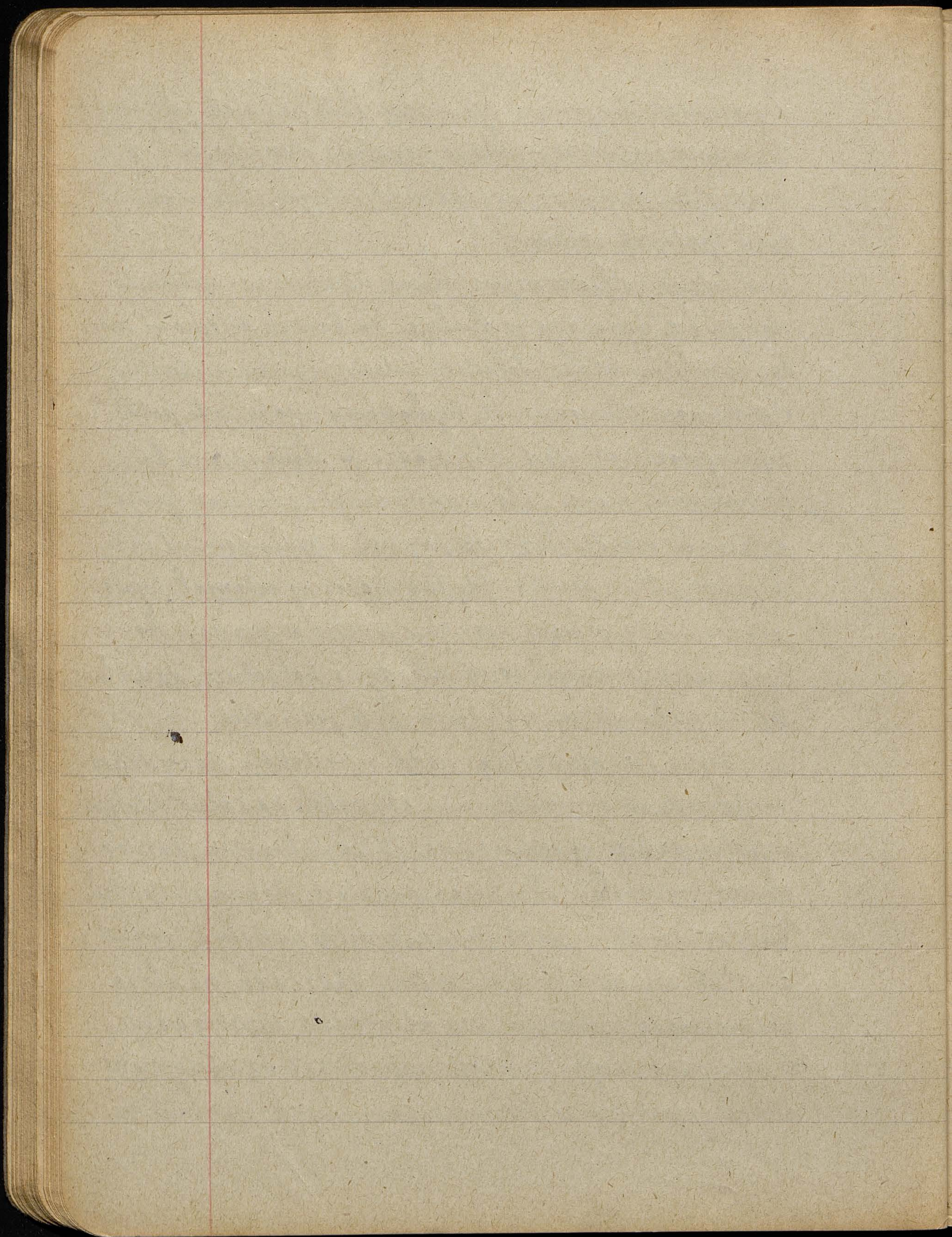
Wtedy upadłem jak podcięty i miałem ochotę zasłonić sobie twarz czemś czarnem. Ale tymczasem nie wiedziałem o tem upodleniu natury ludzkiej przez austryacką dyscyplinę i zgrzytałem na myśl, że zmuszają ojca rodziny do katowskiego rzemiosła. Wyobrażałem sobie, że taki człowiek potem nie śpi, a że lud nasz często ulega halucynacom, że później widuje nieboszczyka w nocy i budzi się ze snu. Burzyło się we mnie wszystko na myśl, że taki pospolitak wróci potem do domu i niewinnemu dziecku da do pocałowania katowską swoją rękę, na której ciąży krew bezbronnego. Taki kat wojenny wychowywać będzie swoje dzieci i żądać od nich posłuszeństwa oraz zaufania do swoich słów ojcowskich.



Zapomniałem o jednem, że nowożytne państwo jest bezimienną organizacyą, która popełnia morderstwa, a nikogo nie czyni za nie odpowiedzialnym. Odpowiedzialność spada na system.

Przedewszystkiem wojna sama uwalnia od wszelkich skrupułów. Zwłaszcza w Austryi. Tu każe się Włochowi mordować w bitwie Włocha, Polakowi Polaka, Rusinowi Rusina, Rumunowi Rumuna itd. Wychowanie mówi, że to patryotyczny obowiązek, rząd jako władza ~~p~~ ~~stwierdza~~ że to konieczność, ksiądz jako przedstawiciel objawienia Bożego ogłasza to morderstwo braci za cnotę i zasługę. Lud widzi przedewszystkiem cesarza. Gdy ten nabożny człowiek, bywający na mszy, biorący uroczyście udział w procesyi Bożego Ciała, uznaje te bratobójcze mordy za potrzebne i dozwolone, toć dla ludu nie ma wątpienia o ich godziwości.

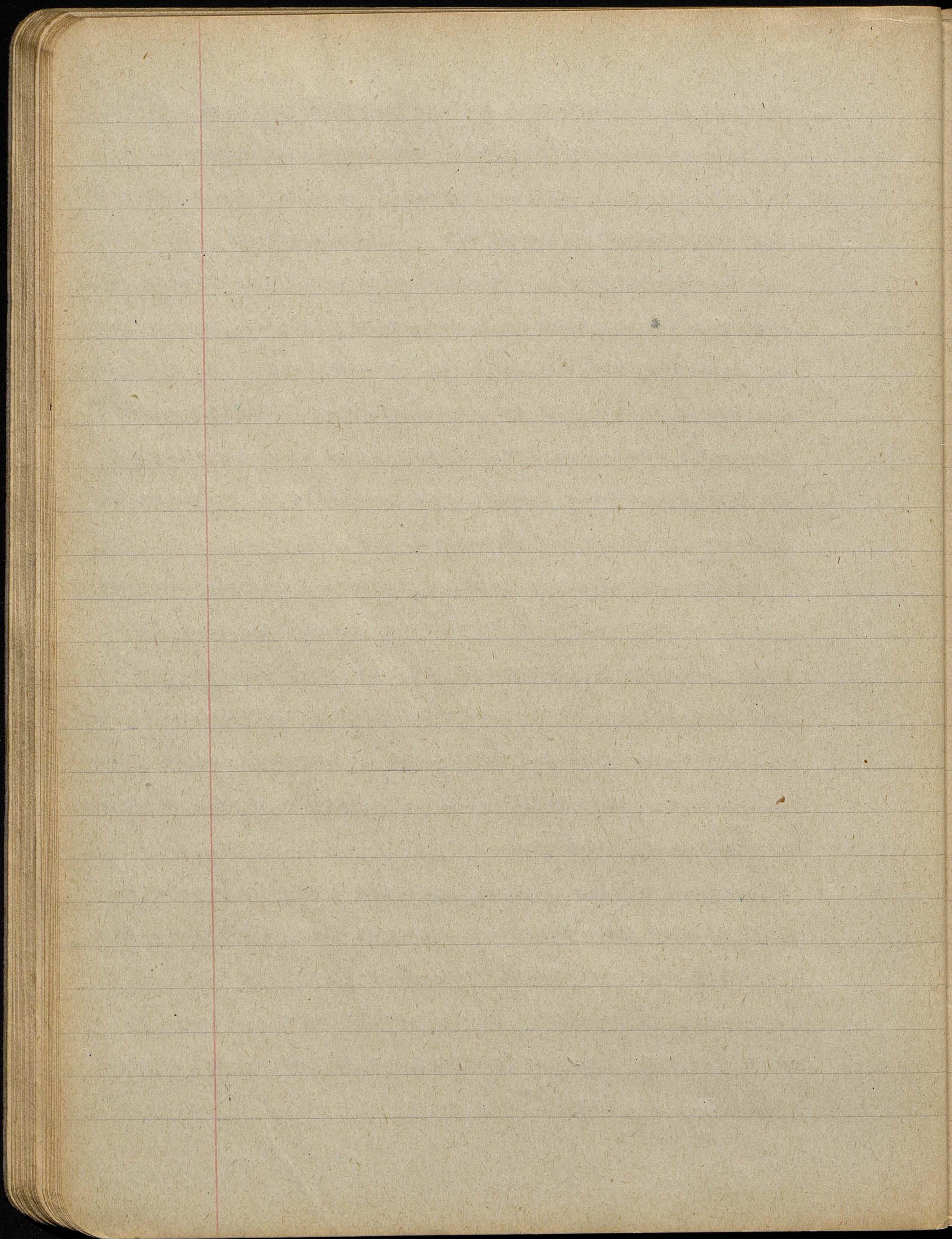
Wojna też dostarczą rządowi pretekstu do wydania rozporządzeń o mordowaniu obywateli państwa, których zapatrywania są odmienne od zapatrywań każdorazowego ministra. A w przeciwieństwie do innych państw które są narodami, zorganizowanymi w państwa, w Austryi są setki nieznanych gdzieindziej zagadnień, na które prawie każdy minister ma odmienne zapatrywanie. I jeżeli jako racyę stanu pojmuje się zasady utrzymania i rozwoju państwa, to ów mozaikowy zlepek trzymał się



policyą i germanizacyą, masowemi rzeziami (jak w 1846) jednością i dualizmem, centralizmem i federalizmem, wreszcie centralistycznem konstytucyonalizmem z przymieszką autonomiczności. A ciągle była to ta sama Austrya, z tymi samymi Habsburgami i z tą samą wiedeńską biurokracyą. Zmian austryackich urządzeń ze zmianami francuskiemi nie godzi się zestawiać, boć Francya Burbonów była inna od Francyi Konwentu, a ta inna od Napoleonowej itd. Różne systemy francuskie budziły do życia coraz nowe siły narodu, gdy wszystkie systemy austryackie miały za cel utrzymanie korony na głowach Habsburgów.

Po tych rozlicznych próbach jest więc poprostu zbrodnią, gdy jakiś minister, jak hr. Stürgkh, chwyci się przy okoliczności jakiegoś systemu i w jego imię każe wyrzynać masowo ludzi, którzy nie dostrzegają zdrożności w innym, odmiennym systemie. Zwłaszcza, że ten inny system również mocen jest spełnić jedyny cel istnienia Austryi, to jest utrzymanie Habsburgów na tronie.

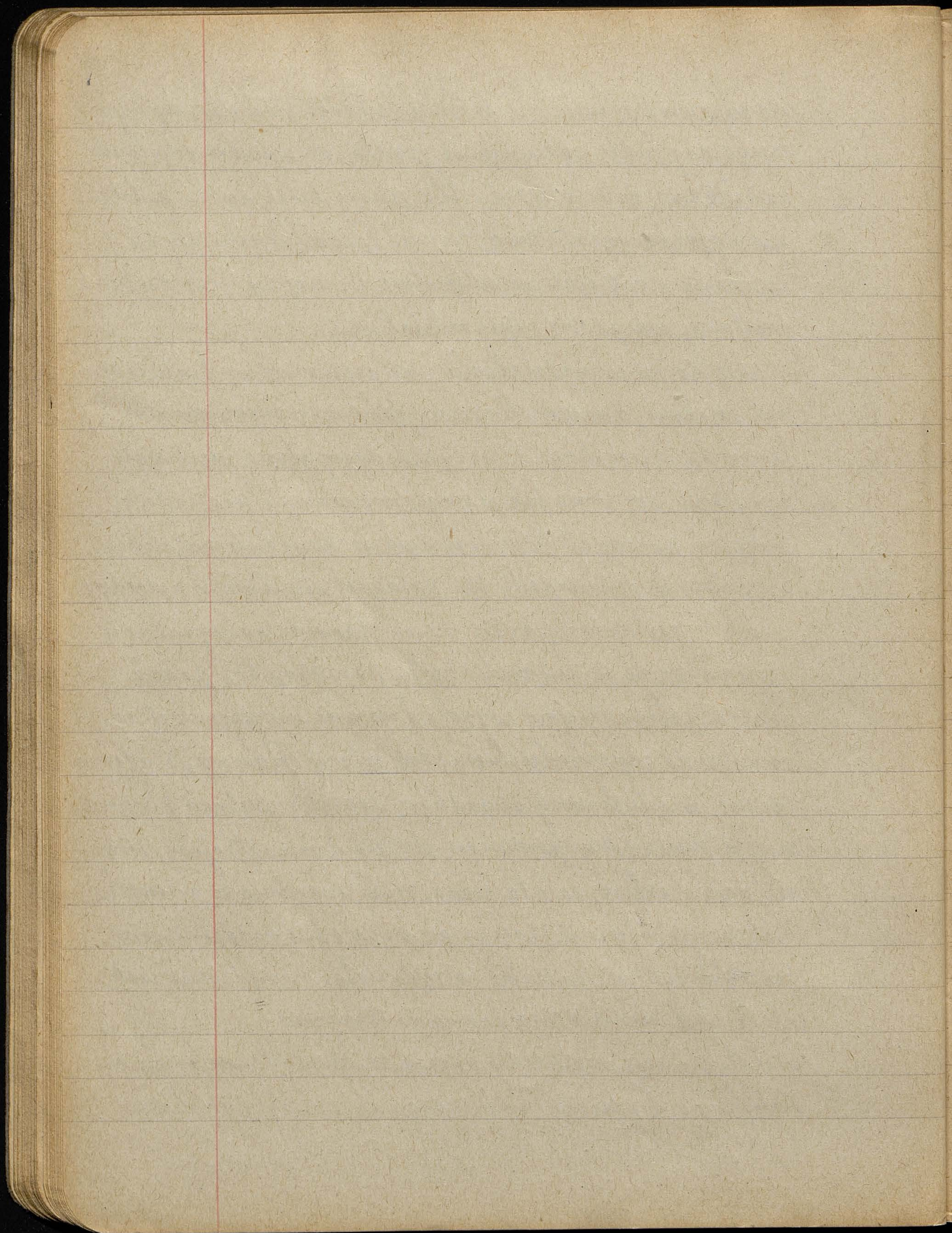
Uważam więc ~~za~~ słusznie, nietylko z ogólno ludzkiego, ale z ciasno austryackiego stanowiska, za zbrodnię owe rozporządzenia wojenne rządu hr. Stürgkha i arcyksięcia Fryderyka. Ci panowie, wydawszy rozkazy i formułki do masowego wymordowywania ludności, nie widzieli egzekucyi, dokonywanych na ich rozkaz i nie poczuwali się



do odpowiedzialności. Uznali, że interes państwowy wymaga, aby ludzi wyrzynać. A resztki skrupułów odjęło im zarządzenie, że owe morderstwa miały dziać się na podstawie wyroków sądu. Słowa „wojna" i „sąd" uspokajały ich sumienie i nie czuli się absolutnie winnymi krwi daremnie przelanej, ani za nią odpowiedzialnymi.

Ale do odpowiedzialności nie poczuwali się także sędziowie wojskowi, a raczej oficerowie odkomenderowani do ferowania wyroków. Nasiąknięci dyscypliną dostawali zapytanie, czy słowa lub czyny obwinionych podpadają pod jakiś paragraf krwiożerczych rozporządzeń wojennych, a gdy oni to potwierdzili, już paragraf stanowił, że podsądny ma być pozbawiony życia i oni odpowiedzialnymi za tę śmierć wcale się nie czuli, bo ten paragraf to „prawo". Jenerał zatwierdzający wyroki śmierci, nie poczuwał się również do odpowiedzialności, boć czterej oficerowie, zbadawszy sprawę, przesłuchawszy świadków, doocznie nabrali przekonania, że obwiniony powinien stracić życie. Profosy, żołnierze, dający salwę, cała ta szara brać mordująca człowieka, nie mogła również poczuwać się do odpowiedzialności, boć była tylko mieczem w ręku kata, narzędziem woli która chce, umie i ma prawo rozkazywać.

I dlatego owe nieludzkie rzezie w imię systemu hr. Stürgkha i arcyksięcia Fryderyka mogły odbywać się ciągle, spokojnie



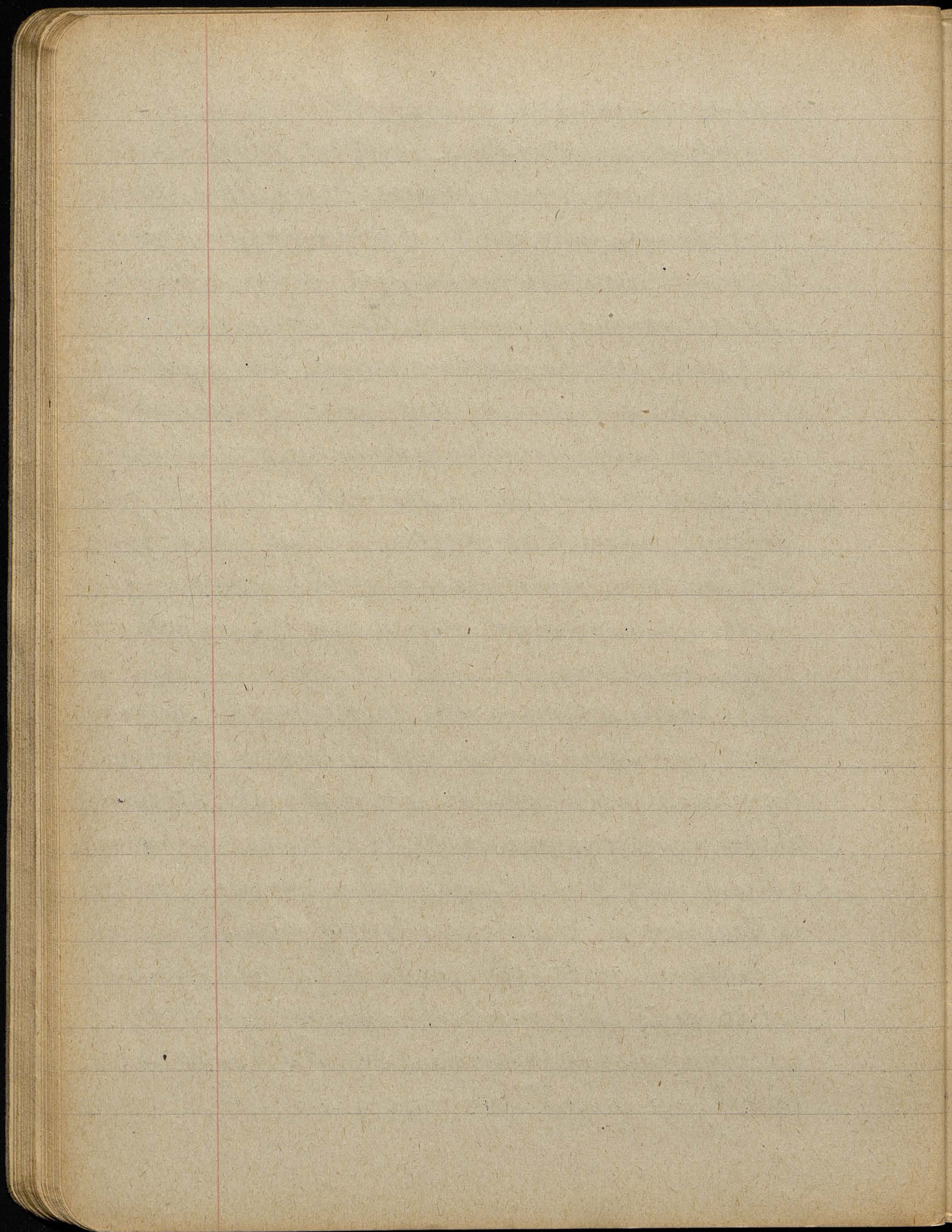
- z podzienną carzyzną.

Poddano pod sądy wojskowe Bukowinę, Galicyę, Śląsk, Czechy, północną Morawę, północne Węgry, Bośnię i Hercegowinę, Pobrzeże istryjskie, Tyrol południowy itd. Pewno trzy czwarte monarchii krwawiły pod rządami soldateski.

A sądy wojskowe są maszynką, którą można nakręcać i odkręcać. Z początku nakazano surowość, to też wykonano wkrótce około dwa tysiące wyroków śmierci. W Morawskiej Ostrawie, to znaczy w Korpusie Krakowskim, rozstrzeliwano ludzi czasami dzień po dniu, czasem co drugi dzień – aż do końca grudnia. Potem przyszła z Wiednia wskazówka, żeby postępować łagodniej; więc ~~st.~~ rozstrzeliwania stały się rzadsze, a w miesiącu maju i lipcu 1915 nie było ani jednej „justyfikacyi."

I tu znowu nie mam słów potępienia na tę „sprawiedliwość" państwową, która potrafi, zależnie od nakręcenia, wyrzynać obywateli masowo, albo też rzadko. Kto miał szczęście, że jego rozprawa odbyła się po owem odkręceniu z Wiednia, mógł liczyć na uwolnienie lub areszt za sprawę, za którą w roku 1914 byłby niechybnie wisiał.

Wspomniałem o podciągnięciu obrazy majestatu pod sąd doraźny. Jest to najokrutniejszy wymysł. Kogo c. k. żandarm zadenuncyował przed sąd, ten przepadł bez ratunku. Boć c. k. auditor, fungujący w roli oskarżyciela

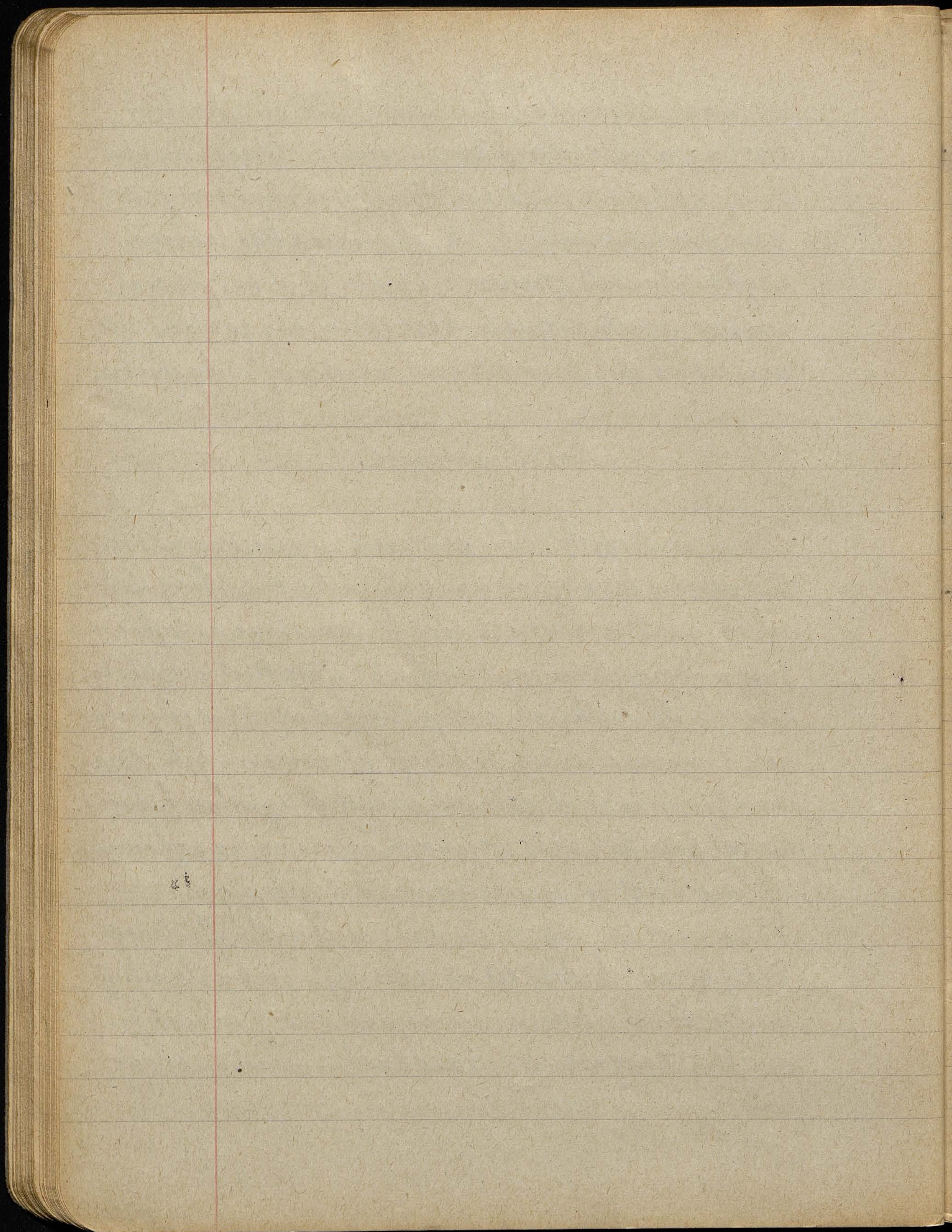


nie mógł w byzantyńskiej Austryi okazać się mniej drażliwym co do honoru swego cesarza, którego mundur nosi, niż był c. k. żandarm. Poczerniał więc i srożył się w swojem oskarżeniu. C. i K. oficerowie z tego samego względu musieli głosować: „winien", a c. i k. jenerał musiał wyrok podpisać. Każdy drżał, aby go władze nie posądziły o obojętność na cześć „uświęconej" osoby cesarza.

Moi towarzysze.

Podczas przechadzek rychło zawierało się znajomości i rozglądało między towarzyszami niewoli. Żołnierze, który stanowili większość więźniów, siedzieli przeważnie za wykroczenia przeciw dyscyplinie wojskowej, lub za kradzież na szkodę kamrata. Nie spotkałem ani jednego, obwinionego o rabunek, a ponieważ wiem, że Galicyę plądrowano jak za czasów Attyli, wnoszę, iż rabunek na szkodę cywilnej ludności nie był przez komendy wojskowe uważany za wykroczenie. Był więc świat żołnierski mniej interesującym.

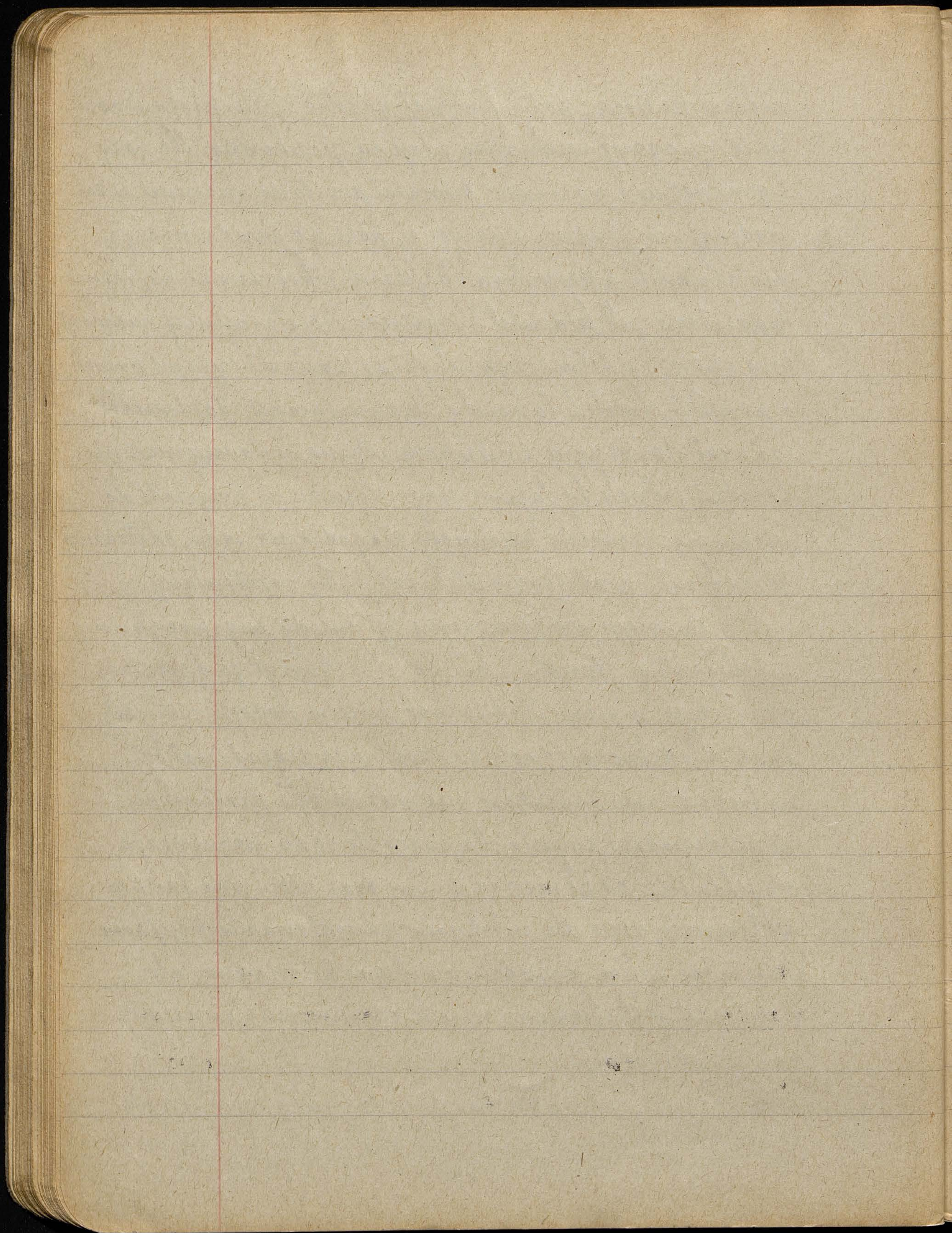
Dwa wypadki zapamiętałem i notuję dla illustracyi. Między nami chodził osobno zdrowy, niezwykle silny młody żołnierz, dzwoniąc kajdanami. Łańcuch łączył mu oba przeguby nóg, ~~zamknięte~~ zawarte w okowy, zamykane na osobny klucz. Żeby się łańcuch nie



wlóczył po błocie, podtrzymywał go sobie sznurkiem w górę. Był to nałogowy uciekinier, zdaje się głupkowaty. Ile razy wymknął się z więzienia, zmiatał prosto do mamusi w sąsiedniej wsi Przywóz i zasypiał, póki go żandarmerya nie odstawiła z powrotem. Kajdany jakoś umiał zdejmować. Widziałem jak feldwebel Brunner najstaranniej zamknął mu okowy, a żołnierzyk schylił się, rozłonił rękami zamek i po kilku chwilach łańcuchy leżały na ziemi. Kajdaniarz zaś rżał donośnym śmiechem. Mimo natarczywości nie zdradził jednak tej tajemnicy. Ponieważ przyszedł do więzienia w okresie ~~zwolnienia~~ złagodzenia sądu, odstawiono go na front – przed Nowym Rokiem byłby rozstrzelany.

O wiele więcej interesującym był młody cugsfirer, żwawy, inteligentny brunet. Jakiś kadet oskarżył go o niesubordynacyę, a słowo kadeta ~~wob~~ przeciw podoficerowi jest święte. Śledztwo ciągnęło się, ponieważ jego oddział był na froncie, więc świadków nie można było przesłuchać. W międzyczasie przyszła dla niego do sądu nominacya na feldwebla od komendy pułku, oraz złoty medal za waleczność, rzecz dla niepoficerów zdumiewająco wyjątkowa. Musiał być zatem prawdziwie dobrym żołnierzem, ale pan kadet jest oficerem, więc te odznaczenia zupełnie mu nie pomagały.

Rozprawa jego trwała dwa dni. Po pierwszym dniu

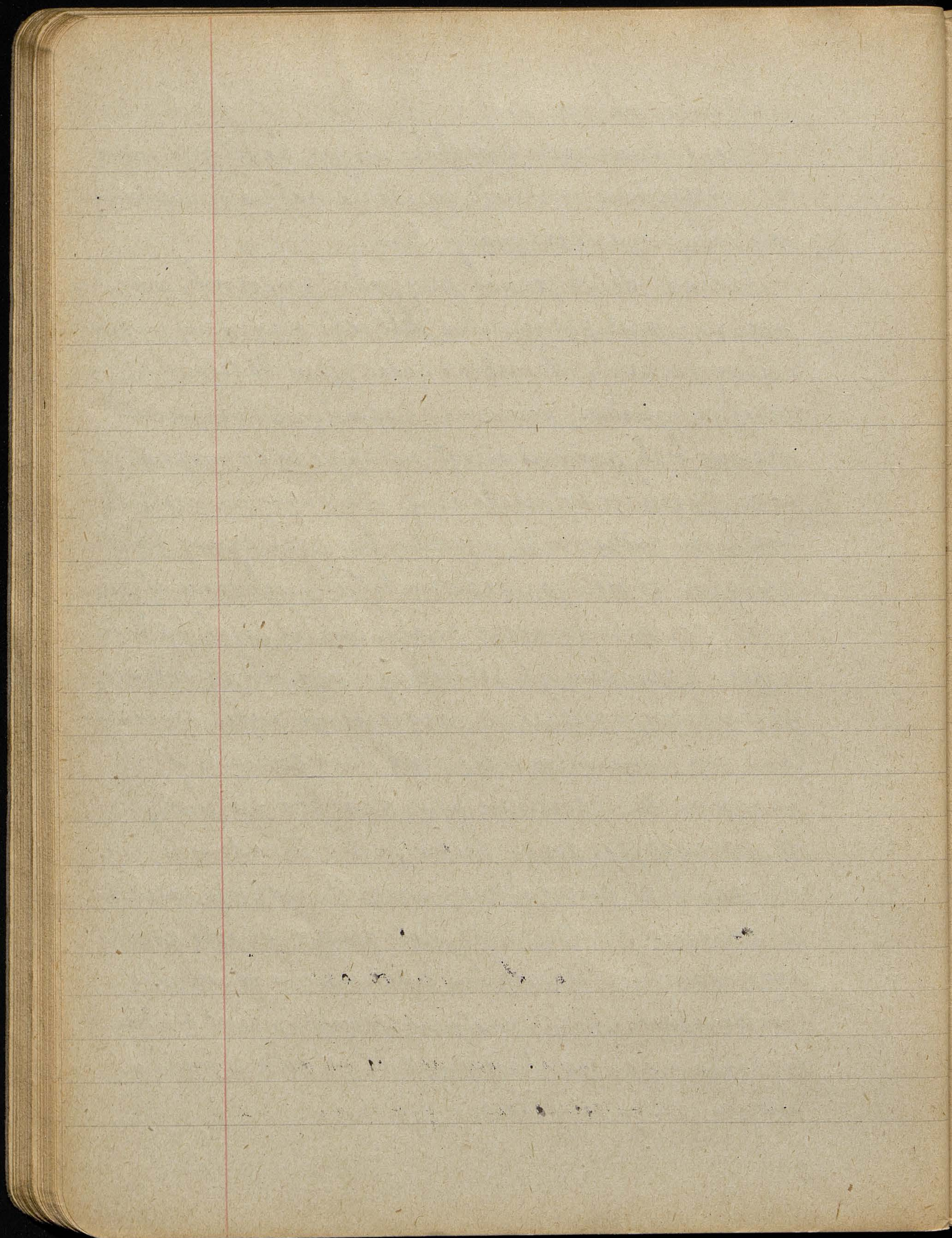


zapytałem, jak rzecz stoi?

– Źle – odpowiedział – świadków niema, Kadet ma wiarę, będę niechybnie rozstrzelany. Nakłamał na mnie niebywałe rzeczy: niesubordynacya, bunt....

Na drugi dzień jednak przyjechał porucznik, umyślnie przysłany przez pułkownika, którego obwiniony wyniósł z bitwy rannego. Porucznik zadał kłam Kadetowi, który zaczął się mieszać, zmieniać i odwoływać oskarżenia, wreszcie brak pamięci złożył na upicie się do nieprzytomności. Cugsfirer był uratowany. Ale gdyby nie osobista troskliwość pułkownika u frontu, ten prawdziwy bohater austryacki ze złotym medalem byłby niechybnie stracił życie przez osobistą urazę pijaka. ~~Ale~~ Tylko ten pijak był Kadetem.

Jeden z zamkniętych żołnierzy, zdaje mi się Werner z nazwiskiem, znalazł się niegrzecznie wobec Klucznika. Dano mu tymczasem więzienną karę porządkową: miesiąc męki. Codziennie przez sześć godzin skuty (tz szpangi), co drugi dzień post z twardem łożem. Post oznaczał porcyę chleba i wodę. Twarde łoże urządzało się, zabierając mu siennik, koc, płaszcz na całą zimną noc grudniową. Człowiek ten miał mocno rozwiniętą chorobę weneryczną – i przetrwał wszystko nawet bez kaszlu. Przy końcu miesiąca skarżył się tylko, że sobie w jednem miejscu odleżał ciało na gołej podłodze.

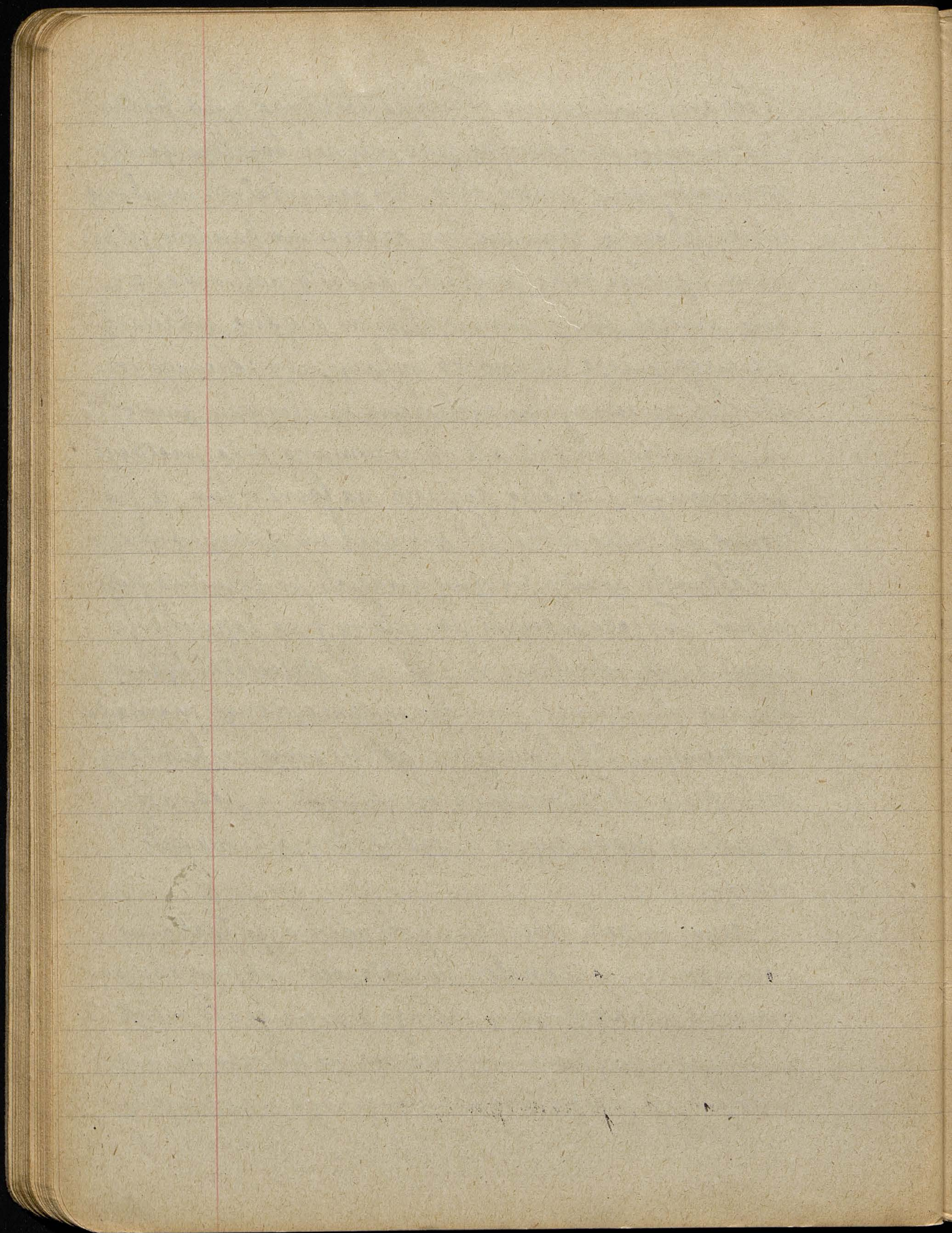


U lekarza zauważyłem Rusina żołnierza spod Gródka. Ten nie chcąc iść na wojnę jako jedynak bogatego gazdy, przestrzelił sobie prawą dłoń. Tu podziwiałem wojskową sztukę lekarską. Zrywano mu codziennie bandaże, jątrząc ranę. Opuchła ręka przybrała kształty potworne, a cały wierzch dłoni zamienił się w ohydne szkawary dzikiego mięsa. Miano go wyleczyć, aby zdrowego rozstrzelać za rozmyślne okaleczenie się. Leczenie przeciągało się, przyszedł rok 1915 a z nim zmiana interpretacyi prawniczych i kalekę posłano na front z tem, że po wojnie odsiedzi kilka lat w więzieniu garnizonowem.

Feldweble prawie wszyscy siedzieli za oszustwa pieniężne. Ten jako sierżant powiatowy ‡ za łapówki fałszował spisy rekrutacyjne i zbierał dziesiątki tysięcy, tamten okradł magazyn, ów sprzeniewierzył pieniądze kompanijne itd. Kradzieże podoficerów rachunkowych dochodziły tak zawrotnych rozmiarów, że później słyszałem następującą anegdotę, kryjącą szczyptę prawdy:

Cesarz Wilhelm, obsypawszy Hindenburga łaskami i odznaczeniami, znalazł się w kłopocie, jak mu okazać uznanie za jakąś nową zasługę i wręcz go o to zapytał:

— Najjaśniejszy Panie! wyjednaj mi na pół roku stanowisko austryackiego podoficera rachunkowego — była anegdotyczna



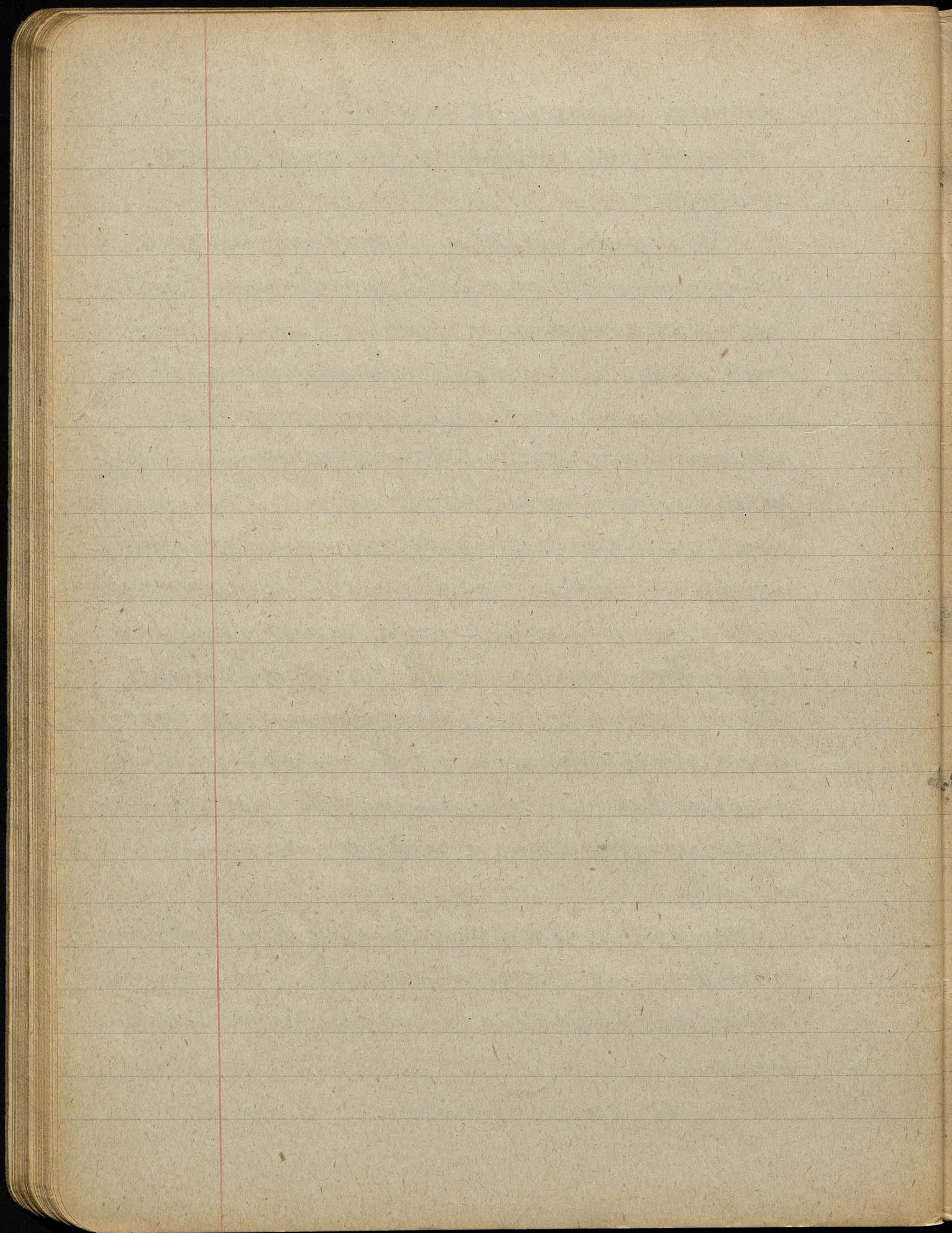
odpowiedź feldmarszałka.

O wiele więcej interesującą była grupa więźniów cywilnych.

Młody, elegancki, wykształcony p. Kotek, redaktor Nowin prościejowskich w Prościejowie (Prostějov) na Morawach. Ożenił się niedługo przed wybuchem wojny, podobno z przecudną i zacną kobietą. Nie dziw, że w miodowych miesiącach nie chciał iść na wojnę. Przestudyowawszy gruntownie rozporządzenia wojenne, postanowił słownie popełnić takie tylko przekroczenie, żeby za nie pójść najwyżej na dwa lata do więzienia, to jest przesiedzieć wojnę i wrócić cało do domu, do żony. Biedaczysko! wierzył swojemu wykształceniu prawniczemu i myślał, że rozporządzenia wojenne rozumieją się jurydycznie. Pojechał do najbliższej wsi przy Prościejowie i wygłosił te z góry wymierzone, obliczone i odważone słowa. Zadenuncyowano go o zdradę główną, obrazę armii, wzywanie do buntu i Bóg tam wie jeszcze o co. Śmierci się nie spodziewał, ale 18 lat więzienia i trzeba go było pocieszać, że po wojnie zaraz nastąpi amnestya.

I przyszedł dzień rozprawy. Żona biegała, żebrała, on się bronił prawniczo – zasądzony na śmierć przez powieszenie! Biedna żona wlokła się za butami jenerała (całujące ostrogi) Mattuschki, ale daremnie.

Pamiętam, był ponury, wilgotny, błotny dzień grudniowy.

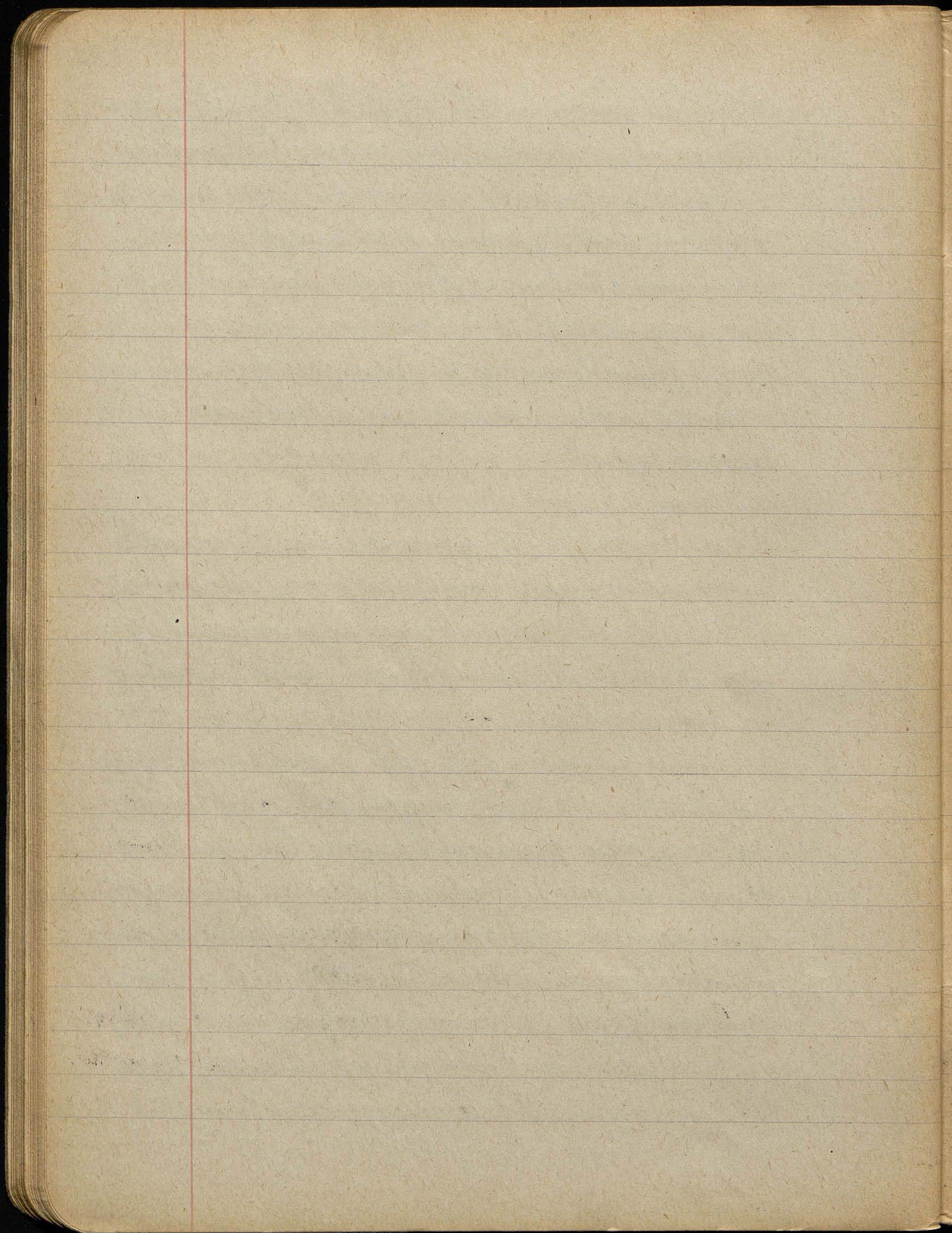


Patrzyłem przez okno: Cały pluton uszykowany w dwa oddalone od siebie szeregi, najeżony bagnetami, wyglądał z góry jak dwie włosiste gąsienice. Otwarły się drzwi, któ=remiśmy chodzili na przechadzkę i wyszedł feldwebel, potem Kotek z Księdzem wojskowym i stanęli między dwoma szeregami. Na czoło wysunął się oficer i dwaj zbrojni feldweble czyniąc przyczółek prostokąta długiego, w którego środku szedł skazaniec z Kapelanem. Oficer zakomenderował:

– Vorwärts! marsch!

Kawalkata ruszyła ku miejscu tracenia. W rogu czekał major auditor Bielski, oberlejtnant auditor, zdaje mi się, Dr Grünfeld, jakiś urzędnik cywilny w mundurze i jakiś oficer. Około słupka zatrzymano się, Kotek z Księdzem wysunęli się na czoło.

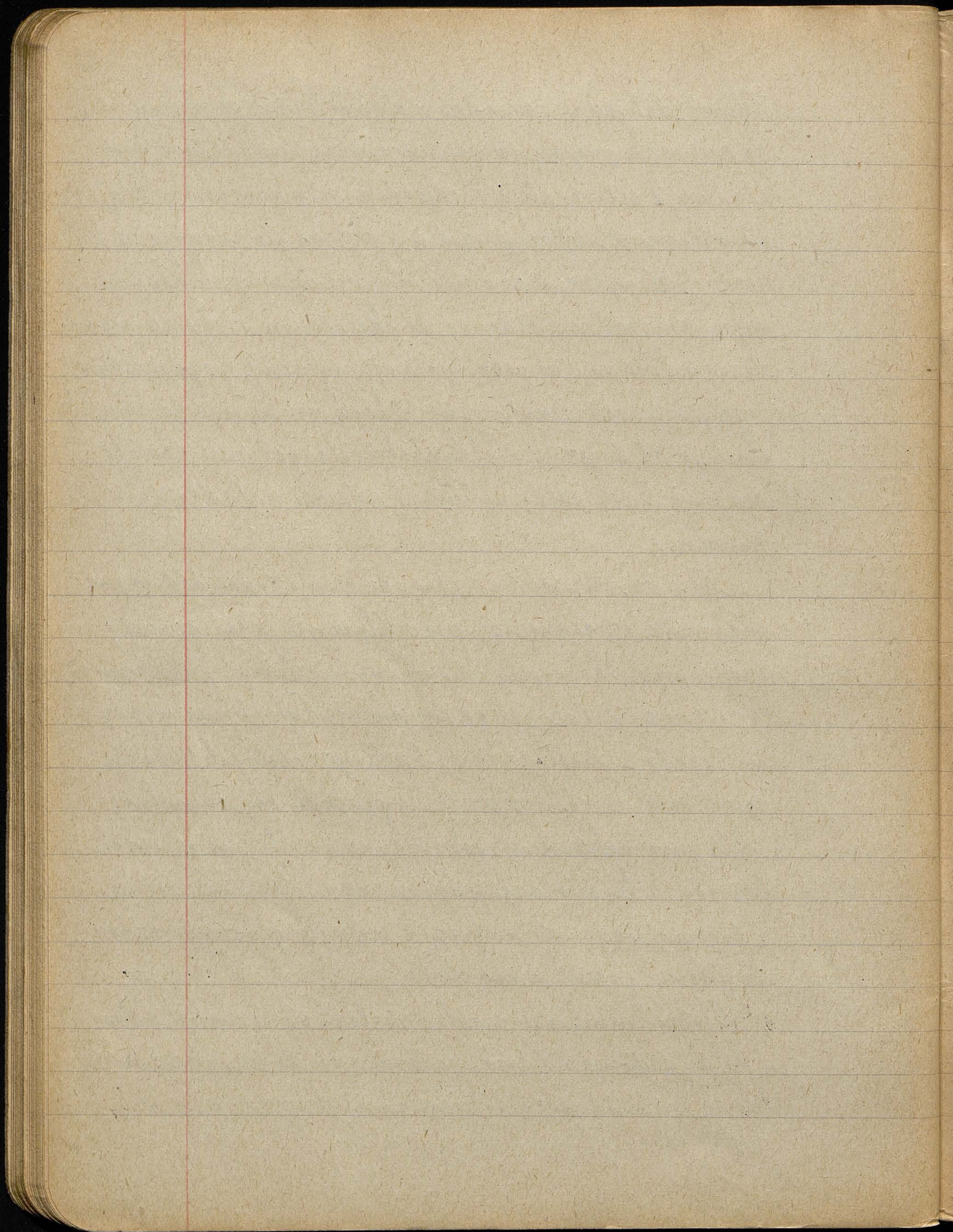
Auditor porucznik dobył jakiś papier i czytał: wyrok. Czekaliśmy z napięciem – przyjdzie jakie ułaskawienie, czy nie? Żona, o której zabiegach i rozpaczy tyle wieści dochodziło za kratę, musiała telegrafować do cesarza. Może w ostatniej chwili przyjdzie zamiana kary. Po odczytaniu wyroku feldwebel Brunner i jeden klucznik pociągnęli ~~pod~~ Kotka pod słupek i zwinnie a z pośpiechem wiązali mu ręce za plecami. Dał z sobą robić wszystko. Gdy stanął w dołku, zmalał, a bujna czupryna spadła mu na oczy.



Oficer dał jakąś komendę i ośmiu ludzi skryło się za parkanem więzienia naprzeciw skazańca: czterej będą strzelać, a czterej stoją w odwodzie, żeby poprawić. Przyjdzie ułaskawienie, czy nie przyjdzie? pytam się z trwogą, a ten biedny, bezwolny skazaniec stał mi się w tej chwili droższym niż brat, niż rodzina, że chciałbym siebie za niego ofiarować, bo mi żal jego nieznajomej żony, jego młodości, jego męczarni oczekiwania, która mi się wydaje straszniejsza od śmierci. Feldwebel rozdarł mu koszulę na szyi, kamizelkę i odsłonił prawie całą klatkę piersiową.

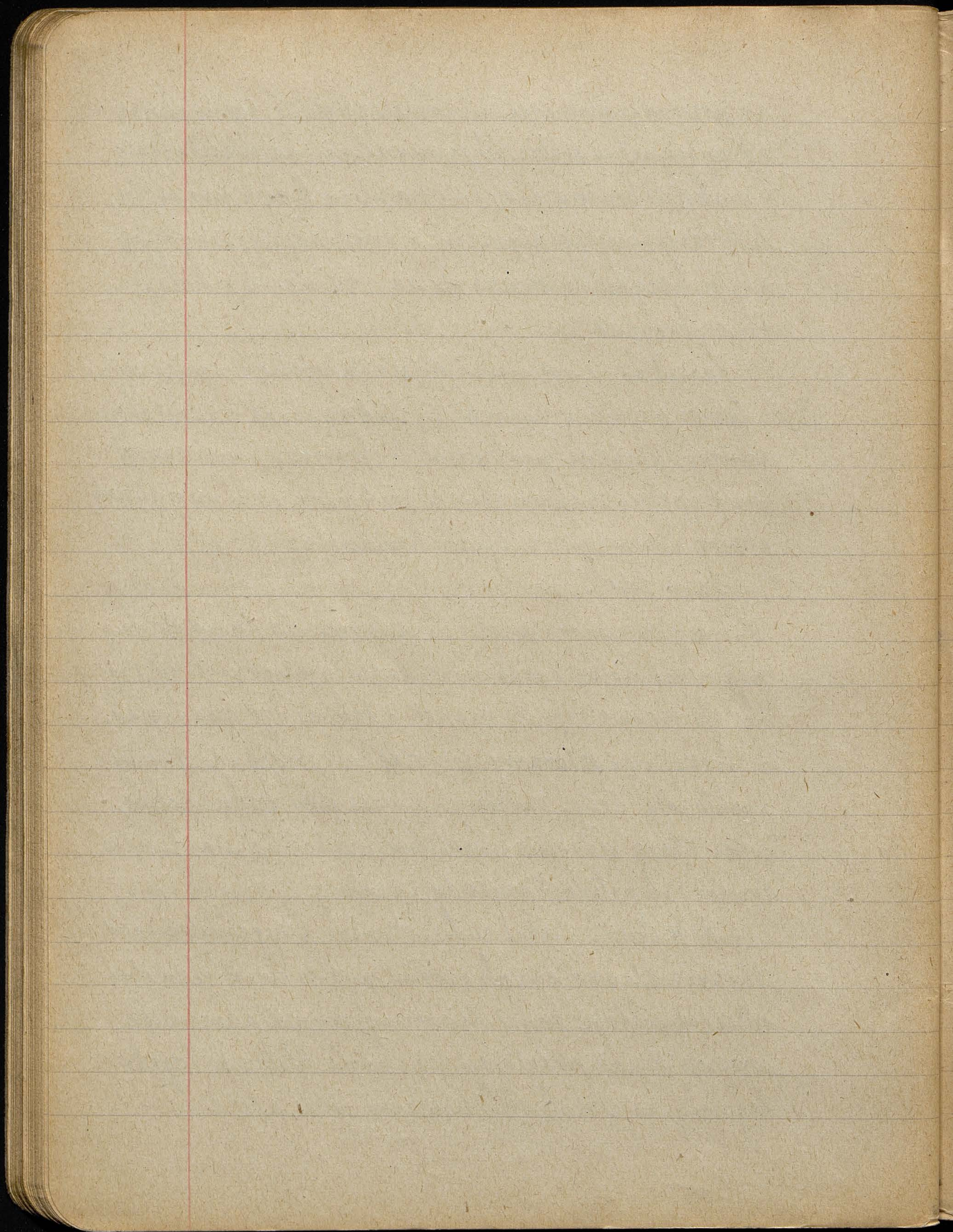
– Ależ go przeziębicie – chcę zawołać i zaraz dodaję pod własnym adresem: głupiś! Klucznik jakąś szmatą zawiązuje Kotkowi oczy, który nic nie mówi, i nie broni się (ręce ma związane) jakgdyby już nie żył. Oficer wyprężył się i czeka z szablą w ręce. Oprawcy odstąpili i na tle desek oraz worków z piasku rysuje się coś samotnego, ni to nieruchome straszydło na wróble, ni człowiek bez rąk z twarzą zabandażowaną, że nosa nie widać, z piersią nagą na wietrze, z czupryną rozmierzwioną, do połowy goleni w ~~zia~~ dołku.

Oficer machnął szablą: rozległ się gruchot salwy, a Kotek padł na kolana na krawędź dołka, głowa pochyliła się naprzód wraz z piersiami, ale przytrzymany



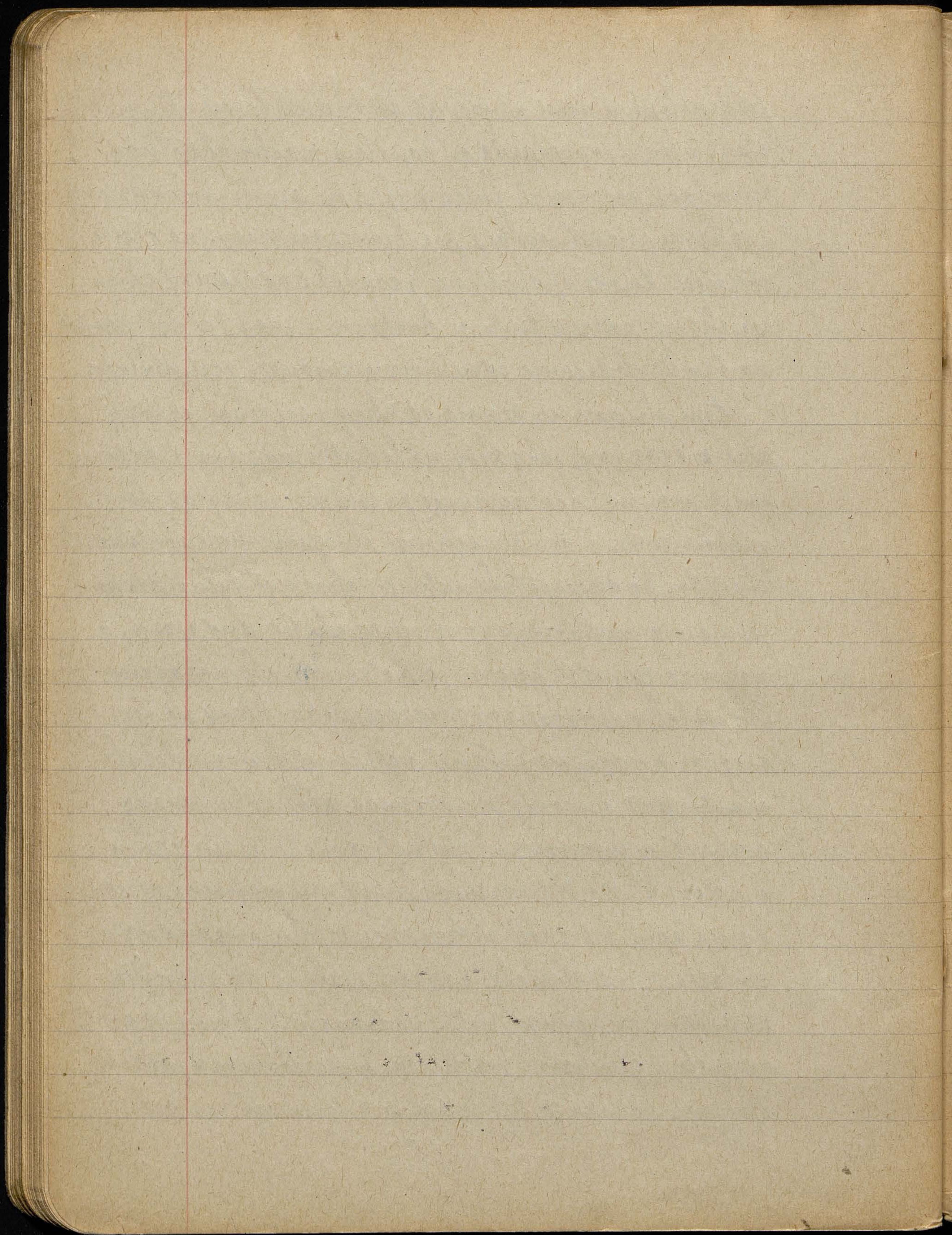
za przywiązane ręce nie rozciągnął się, tylko chwiał się, aż się osunął w siebie. A równocześnie za przeciwległą zamkniętą bramą ozwał się na ulicy krzyk niewieści, tak rozdzierający, straszny i przeraźający, jakgdyby z tym krzykiem druga dusza wydarła się z ciała.
Oficer krzyknął:
- Habt Acht, i żołnierze chwycili bronią i naciągnęli się, a lekarz wojskowy pochylił się nad zabitym i konstatował śmierć, poczem powiedział to oficerowi. Oficer ruszył przed majora, zaprezentował broń i wykonał meldunek. Major kiwnął głową. Oficer krzyknął:
- Zum Gebet!
Wszyscy żołnierze przyłożyli lewe ręce do daszków, trzymając prawymi kolby karabinów, sędziowie napięli się i przytknęli prawe ręce do czapek i tak długi czas trwali.

Bodaj was piorunny wytrzaskały, bodaj was ziemia pochłonęła katy! oprawcy! z waszymi hokus pokus, przez które udajecie modlitwę, czy żal za zarganem życiem. A potem komendy i ruchy:
- Habt Acht! Kehrt euch! Marsch, Angeschlossen. Halt! Wyprowadzono swych ośmiu pod mur i feldwebel odbierał naboje, badał karabiny, czy odładowane, wreszcie kazał przyłączyć się im do plutonu. Zdjęto bagnety ze strzelb. Tymczasem oficer zdał komendę



feldweblowi, a sam przyłączył się do auditorów, którzy otoczyli trupa, rozmawiając. Kapelan nachylał się nad nim, coś perorował, jeden z oficerów wspiął się nad trupem i rękami macał worki z piaskiem: rozprawiano o sile strzałów. Ksiądz spojrzał na zegarek i oddawszy ukłon wojskowy, odszedł lekkim krokiem – może bał się spóźnić na kawcię. Sędziowie odeszli rozmawiając i gestykulując.

Wtem otwarła się brama od ulicy i zajechał czarny wóz wagonowy, jakgdyby na lód albo na piwo i dudniąc swoją próżnią oraz zgrzycząc po szutrze, zbliżył się do nieboszczyka. Z kozła zeskoczył chłopiec może siedemnasto-letni, trochę apasz, trochę sutener, otworzył tylne drzwi pudła i z brzękiem wyciągnął cynkowe dno wozu, a woźnica pomógł położyć je na ziemi. Tymczasem feldwebel odwiązał ręce nieboszczyka, który się roz=ciągnął, a raczej rozpełznął na ziemi. Z wozu dobyto ~~chustę~~ prześcieradło z surowego płótna, a młody grabarz z furmanem owinęli zwłoki w ten całun i położyli na blasze. Nogi trupa pod płótnem rozeszły się na całą szerokość obrzeżonej blachy i jedna ręka wylazła zpod szmaty, świecąc białym mankietem, zawalanym smugą błota. Podnieśli tę blachę w górę, wsunęli z głuchym brzękiem w pudło wozu, młody opryszek zamknął tylne drzwi i wskoczył na kozioł



obok woźnicy. Nawrócono wóz, który zabłysnął żółtym napisem: „Stadt Mähr. Ostrau" i z dudnieniem i zgrzytem wyjechano.

Tak skończył redaktor Kotek, winny zbrodni przywiązania do życia i do młodej żony. Na mieście nikt przed tym powiezionym przez gminę wozem nie uchylił kapelusza, a na cmentarzu rzucą go do bezimiennego dołu pod płotem, aby nawet miejsca wiecznego spoczynku nie odkrył nikt z rodziny i nie chciał okazywać karygodnej czci ~~zbro~~ zwłokom zbrodniarza.

Po tej egzekucji nie mogłem się uspokoić. Trudno mi było wstawić się w te ostatnie chwile czekania na śmierć - wydały mi się tak potwornemi, tak nie=możliwemi do zniesienia, że jako jedyny ratunek uznawałem odebranie sobie życia przed czasem. Zrozumiałem wtedy tych ludzi, którzy powołani na wojnę zabijali się, aby nie iść na nieznane okropności.

Nazajutrz w „Mährisch Ostrauer Zeitung" wyczytałem artykuł pt: „Ułaskawienie: J. E. Komendant Korpusu feldmarszałek porucznik Mattuschka ułaskawił skazanego na śmierć redaktora Kotka, zamieniając w drodze łaski karę śmierci przez powieszenie na karę śmierci przez rozstrzelanie. Egzekucji dokonano wczoraj na dziedzińcu więzienia wojskowego".

